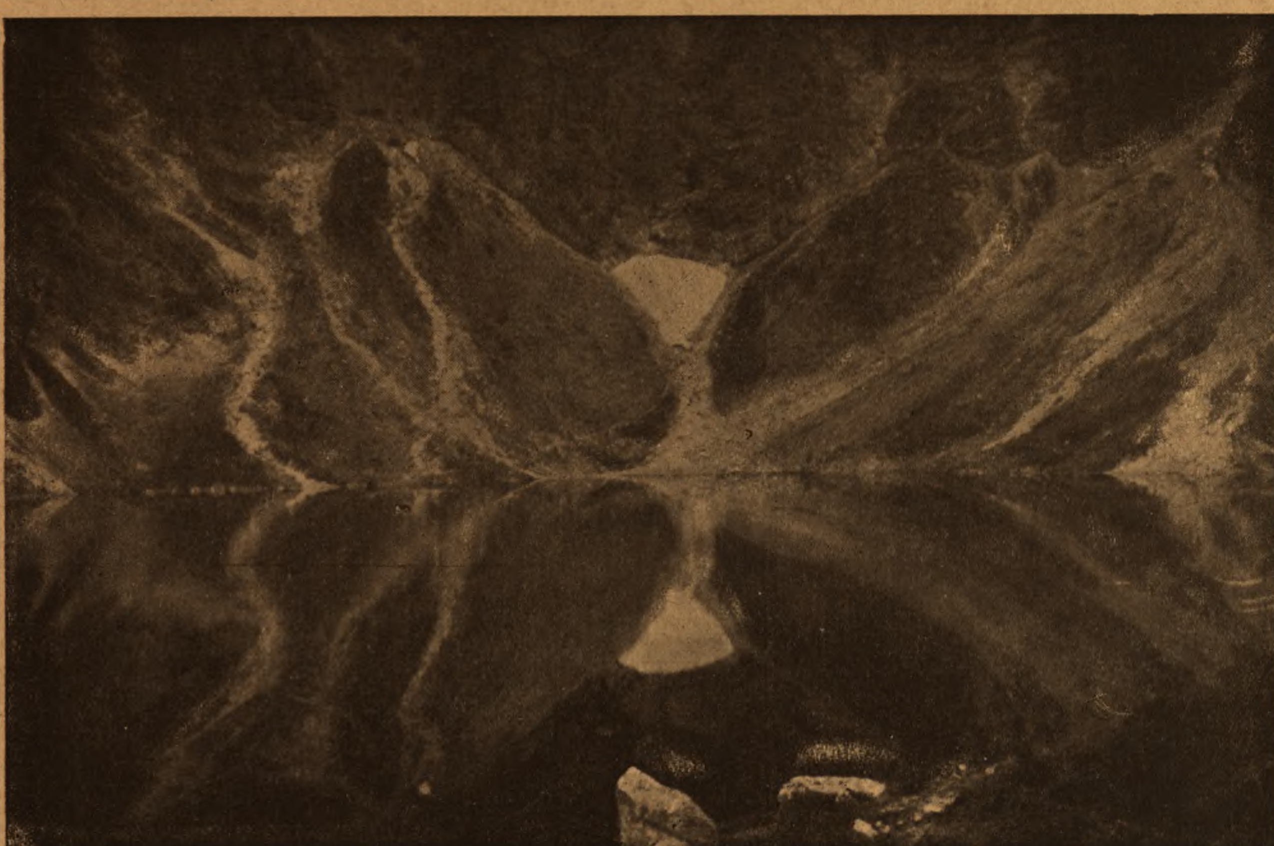
RODZINA POLSKA

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY



Czarny Staw w Tatrach. Fot. M. J. Chudek 1932.

WARSZAWA

ROK VI WRZESIEŃ—1932

KONKURS NA ARTYKUŁ P. K. O.

Celem najskuteczniejszego zwalczania rozpowszechnionej tezauryzacji P. K. O. przy czynnym współudziale Stowarzyszenia Polskich Dziennikarzy i Publicystów Gospodarczych ogłasza niniejszym konkurs na najlepszy artykuł na temat „O szkodliwości tezauryzacji wogóle, a przedewszystkiem o szkodliwości lokowania pieniędzy w walutach obcych, oraz środki zaradcze".

Warunki konkursu są następujące:

1) Do konkursu dopuszczone będą tylko artykuły drukowane w prasie codziennej lub perjodycznej, to znaczy w dziennikach lub tygodnikach, wychodzących na obszarze Rzeczypospolitej i Wolnego Miasta Gdańska, w dowolnych językach, w czasie, od chwili otwarcia niniejszego konkursu do jego zamknięcia.

2) Wymiar artykułu określony zostaje na 100 do 200 wierszy jednoszpaltowych.

3) Za najlepszy artykuł zostaną przyznane nagrody:

I.	(jedna)	a	zł.	1000. —
II.	(dwie)	„	„	750. —
III.	(trzy)	„	„	500. —
IV.	(dziesięć)	„	„	100. —

4) Sąd konkursowy składać się będzie z trzech osób, a mianowicie:

1) Przewodniczący Jury.
2) Delegat P. K. O.
3) Delegat tSow. Polskich Dzien. i Publ. Gosp.

5) Termin nadsyłania prac — 1/X — 1932 r.

6) Prace mają być nadsyłane pod adresem P. K. O. Wydział Ekonomiczny, w dużej kopercie, zawierającej 2 egzeplarze pisma, które umieściło konkursową pracę, oraz zalakowaną kopertę, w której będzie podane imię i nazwisko autora. Zarówno praca, jak i zalakowana koperta mają być opatrzone identycznem godłem.

7) Tytuł pracy dowolny pod warunkiem, iż będzie od omawiał temat, jak zaznaczono na wstępie.

8) Termin ogłoszenia wyników konkursu został ustalony na dzień 31 października 1932 r.

Wszelkich informacyj w sprawie konkursu udziela w godzinach urzędowania Wydział Ekonomiczny P. K. O. oraz Sekretarjat Stowarzyszenia Polskich Dziennikarzy i Publicystów Gospodarczych w Warszawie, Marszałkowska 95.

Najwyższy czas odnowić prenumeratę na trzeci kwartał

PRENUMERATA „RODZINY POLSKIEJ" W KRAJU I ZAGRANICĄ WYNOSI ROCZNIE:

Polska	zł. 10	Czechosłowacja	kor. cz. 60
Niemcy	R. mk. 8	Ameryka	dolary 2
Francja	frank 35	Inne kraje	fr. szw. 10

PÓŁROCZNA prenumerata w Polsce — 5 zł.; KWARTALNA — 2.50 zł. Cena POJEDYŃCZEGO numeru 1 — zł.

Adres REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Warszawa, Krak. Przedmieście 71.
Telefony Administracji: 240-15 Redakcji 436-18, P. K. O. 14.664.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki od godz. 3 — 5 po poł. rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.

RODZINA POLSKA

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY

ROK VI. WARSZAWA, WRZESIEŃ 1932



Kobieta w stroju świątecznym w Podegradzie, p. Nowy Sącz.
Fot. E. Frankowski zaczerpnięte z Wyd. „Wiedza o Polsce".

SZKOŁA JAKO CZYNNIK KSZTAŁCENIA ELITY SPOŁECZNEJ

Szkolnictwo Polski odrodzonej wyniańczyła chimera demokracji. Hasło oświaty dla wszystkich, pojęte literalnie, stało się rychło jednym z koników demagogji politycznej, środkiem przypodchlebiania się ludowi-suwerenowi, a w rezultacie przyczyną jego demoralizacji i upadku kulturalnego.

W konstytucji wyraziło się to również w swoisty sposób: państwo moralnie zobowiązywało się do dostarczenia wszystkim możności nauki od szkoły powszechnej począwszy — na uniwersytetach skończywszy. Zaczęto więc na gwałt „rozbudowywać“ szkolnictwo wszerz i w górę. Podjęto, co za tem idzie, akcję budowlaną aż nadto kosztownych gmachów dla szkół powszechnych, nie licząc się z tem, czy nowopowstałą, ubogą demokrację stać będzie na wydatek pięciu miljardów dla stworzenia tak po królewsku pomyślanej, rozległej sieci szkolnej.

W górę zaś wyciągano ustrój szkolny, tak, by otwierał „wsiem, wsiem, wsiem“ jak najłatwiejszą drogę do uniwersyteckiej ławy, a raczej dyplomu.

Istota bowiem tak demagogicznie pojętej oświaty dla wszystkich streszczała się bynajmniej nie w udostępnieniu wiedzy, lecz jedynie nieomal w zapewnieniu karjery inteligenckiej, a ściślej, urzędniczej, każdemu choćby najmniej do tego powołanemu.

W wyniku szkoła, miast stać się czynnikiem rozwoju i podniesienia kulturalnego mas społecznych, wiodła do upadku ogólnej kultury, „dyplomując“, czyli dając rodzaj glejtu na drogę karjery — w ręce wszelkiej miernoty. Ten stan oświaty naszej, opętanej mrzonką demokratyzacji za wszelką cenę, możnaby streścić w paradoksie, który ukuto ostatnio w związku z rewelacjami „Lekarza wojskowego“: im więcej maturzystów, tem więcej matołów“.

Patentowany matoł stał się reprezentantem typowym nowej, kulturalnie spauperyzowanej polskiej oświaty. Zaczął się zastraszająco panoszyć „inteligent bez inteligencji“, swym tupetem wypierając zewsząd ludzi prawdziwie kulturalnych i wartościowych.

Traktowanie szkoły głównie jako szczebla w drabinie karjery społecznej, jako środka dobijania się lepszych posad — odbiło się przedewszystkiem ujemnie na szkolnictwie powszechnem i jego programie nauczania.

Drugą bowiem zmorą, gnębiącą nasze szkolnictwo — to nieżyciowy, mimo wszelkich pozorów, niepraktyczny charakter programu nauczania. Na pociechę możemy sobie powiedzieć, że nieżyciowość szkoły jest plagą, doświadczającą również i inne społeczeństwa. Ostatnio jeden ze znanych pedagogów włoskich, Caputi, ośmieszył „biurokrację szkolną“. Cechą takiego biurokratycznego systemu oświaty jest olbrzymi zakres programu szkolnego, sięgającego swemi ambicjami poziomu studjum uniwersyteckiego. Stwarza to balast wprost niedoprzezwyciężenia dla przeciętnego umysłu i miast ułatwić, uniemożliwiła jego rozwój. Lecz biurokratyczny pedagog jest zadowolony, że w programie ma wszystko, co się tylko może zmieścić, a że tam głowy młodzieży nie wiele z tego pamiętają, wcale go to nie wzrusza. Vivat program — pereat inteligencia — oto jego dewiza.

Nic dziwnego, że umysłowość maturzysty to najczęściej ogród nieplewiony wiedzy, wśród której porusza się on z prawdziwym lękiem i irytującą wprost nieznajomością najelementarniejszych prawd. Wyrobienie życiowe, umiejętność przystosowania zdobytej nauki do potrzeb życia — prawie żadna. Wszystko przesłania mgła werbalizmu i doktrynerstwa. W rezultacie pomimo bogatych, wprost przeładowanych programów — ze szkół płynął istny potop niedouczeńców, o słabo wyrobionej inteligencji, zato pełnych wygórowanych ambicyj. Szkoła produkowała nietwórczy typ pseudointeligenta, który nie nadawał się do niczego: do pracy zawodowej był „za bardzo wykształcony“, do pracy intelektualnej na uniwersytetach niedouczony i niedorozwinięty. Słowem, demokratyczna masowa produkcja inteligencji stworzyła typ kulturalnie bezwartościowy.

Ten stan rzeczy w Polsce urągał najelementarniejszym wymaganiom prawdziwej oświaty i kultury. Zapomnieliśmy, że nie to społeczeństwo ma naprawdę wysoką kulturę, które może się pochwalić rekordową liczbą dyplomów, lecz to, w którem ilości dyplomów odpowiada rzeczywiście wysokie wyrobienie intelektualne młodzieży, oraz które ma możność naprawdę twórczego wyzyskania młodych sił intelektualnych. Wypuszczenie nowego rocznika inżynierów, czy adwokatów nie stwarza jeszcze ani fabryk, ani instytucyj, w którychby mogli pracować, ani nie stwarza realnych potrzeb społecznych, których zaspokojeniu mogliby się poświęcić*). Nadprodukcja nawet wartościowej inteligencji jest taką samą niedorzecznością, jak każda inna nadprodukcja. Tem gorzej zaś, jeśli jest to tylko „papierowa“ inteligencja. Istny to scrap of paper: który życie pogardliwie wyrzuca za nawias. Nadprodukcja takiej inteligencji jest podwójnie szkodliwa: pozbawia bowiem równowagi życie kulturalne społeczeństwa, zamiast pożytecznego rzemieślnika daje rozwichrzonego intelektualistę, genjusza bez teki do wszystkiego i do niczego. Najczęściej jest to łatwopalny materjał dla rewolucyjnej agitacji, zalegający chwilowo „na składzie“ urzędy i uniwersytety.

Tak pojęte szkolnictwo niszczy podstawy kulturalne życia narodu, zamiast elity dostarcza jakiejś nieokreślonej miazgi inteligenckiej, z której byłoby syzyfową pracą urabianie twórczych kadr społecznych.

To też zasadzie chaotycznej demokratyzacji szkolnictwa i oświaty oraz inflacji pseudointeligencji należy stanowczo przeciwstawić zasadę tworzenia kadr elity intelektualnej, hasłu zrównania wszystkich w wyścigu do karjery — zasadę hierarchji społecznej, opartej na uwzględnieniu intelektualnych różnic między ludźmi; źle pojętemu interesowi jednostki — interes zbiorowości.

---

*) W Niemczech jest obecnie 130.000 bezrobotnych inżynierów, adwokatów etc. Londyn ma samych bezrobotnych lekarzy — 5.000.

Pogląd na społeczeństwo jako podobne do kupy piasku nie ostaje się wobec powagi życia — wobec niezbitego faktu istnienia różnic w stopniu uposażenia intelektualnego jednostek. Pojęcie takiej mechanicznej równości zarzuciła nawet Rosja sowiecka. B. Shaw, omawiając wyniki swych spostrzeżeń w podróży po Rosji sowieckiej, stwierdza jako cechę charakterystyczną Sowietów, wyraźną i zdecydowaną dążność do tworzenia nowej, komunistycznej elity.

Pojęcie hierarchji i dążenie do tworzenia elity społecznej winno być podstawą reformy ustroju szkolnictwa w Polsce. To też z prawdziwem zadowoleniem przyjąć możemy opracowany przez ministerjum W. R. i O. P. program reformy ustroju szkolnego. Szczęśliwie program ten przychodzi w krytycznym momencie i może odegrać zbawczą rolę, nadając właściwy kierunek rozwojowi polskiej oświaty i kultury. U podstaw tego programu leży jedynie trafne i obowiązujące założenie, że „szkoła — jak mówi prof. Bystroń w swem kapitalnem dziele „Szkoła i społeczeństwo" — „jest jednym z podstawowych czynników kształcenia elity socjalnej".

Ze stanowiska socjologicznego biorąc, jest to niewątpliwie najwłaściwszy punkt widzenia na rolę szkoły, jako selektora naprawdę intelektualnie wartościowych, życiowo twórczych typów społecznych. ((Disce puer latinam, ego te faciam mociumpanie — powiadano dawniej i jest w tem anegdotycznem ujęciu prawda, że po szczeblach hierarchji społecznej posuwać się mogą tylko jednostki kulturalnie wartościowe).

W założeniach projektu nowego ustroju szkolnictwa, obok powyżej podkreślonej tendencji do tworzenia elity oraz selekcji młodzieży, znajduje się — zdaniem naszem — inna kapitalna myśl, wyrażająca się w nadaniu szkolnictwu zwłaszcza powszechnemu, charakteru regionalnego. W zależności od środowiska, szkoła będzie przystosowywała swój program do potrzeb wsi, miasta, ośrodka przemysłowego i t. d., posuwając się nawet do bardzo dalekiej specjalizacji.

Doprawdy, jest to jakby — bardzo szczęśliwy zresztą — nawrót do koncepcji ustroju społecznego średniowiecza, kiedy życie rozwijało się w samowystarczalnych dzielnicach, a rzemiosło, przemysł i handel, dzięki ustrojowi cechowemu było przekazywane z pokolenia na pokolenie w żywej i bezpośredniej tradycji.

W ten sposób wytwarzała się ciągłość pracy zbiorowej, harmonijność rozwoju poszczególnych środowisk, które ze swej strony przeprowadzały selekcję społeczną. Dzisiaj, w okresie gospodarki wielkoprzemysłowej, stosunki społeczne nabrały cech groźnej płynności, która doprowadziła wręcz do zachwiania podstaw społecznego bytu, w jego oparciu na roli i elemencie ludowym. We Francji, w Anglji, we Włoszech, w Niemczech, słowem prawie na całym zachodzie europejskim obserwujemy zatrważające zjawisko ucieczki od roli. Pragnienie „lepszej" karjery społecznej, podżeganie przez „demona demokracji", sprowadza wyludnienie wsi, gdzie też odczuwa się brak rąk roboczych: gdy w mieście jest ich nadmiar i bezrobocie. We Francji całe wsie pięknie zabudowane, stoją pustką, bez żywej duszy. Stan uprawy roli w Anglji zmniejszył się np. w r. 1927 o 80 tys. ha, a zbiór zbóż spadł o 200 milj. q., czyli o 15%. John Galsworthy w swej kapitalnej „Sadze Forsytów" z prawdziwą pasją porusza kwestję walki z upadkiem gospodarki rolnej i ucieczką od roli. W Niemczech Oswald Spengler, przeciwstawiając się zabójczemu urbanizmowi (miasta mają tendencję do wymierania. Berlin ma obecnie przewagę zgonów) — głosi powrót na wieś. We Włoszech Mussolini, konstatując, że wszystkie miasta centralnych Włoch wykazują upadek populacyjny, nawołuje do odurbanizowania życia społecznego i do powrotu na rolę.

Polska jest w tem szczęśliwem położeniu, że ma dotąd przewagę elementu wiejskiego, przynajmniej w liczbach absolutnych, jednak w stosunku do stopnia swego rozwoju kulturalnego, ciężar industrjalnego urbanizmu daje się już i nam groźnie odczuwać. Wystarczy zaznaczyć, że Polska ma obecnie 22% niezatrudnionych robotników przemysłowych, gdy taka Anglja i Niemcy 27% i 25%.

Stąd polityka polska musi się zastanowić nad utrzymaniem równowagi społeczno-gospodarczej państwa i co za tem idzie, powrotu do roli i wógóle pewnej prymitywizacji życia. Nie ulega wątpliwości, że szkoła może tu odegrać rolę wielce skutecznej tamy, budząc patrjotyzm regionalny na wsi i przystosowując do gospodarki rolnej.

Pod tym względem nowy projekt może stanowić punkt zwrotny w rozwoju naszego państwa.

SPOWIEDNIK

Ludzkie się dusze otwarły przedemną —
spojrzałem chciwie i oko się łzawi,
bo taką głębię tam ujrzałem ciemną,
tak tam się wszystko szamoce a krwawi:
nędza i boleść, słabość i rozpacze,
że lęk mię bierze i litość, więc płaczę.

I w pierwszej chwili nic nad łzy nie może
ze mnie się dobyć, myśl potem się budzi,
że rozpocząłem wielkie dzieło Boże,
bo po to wglądam w dusze grzesznych ludzi,
abym te serca tak mocno bolące
oczyścił z brudu, wykrzesał w nich słońce.

Jakże to sprawię? Oto pierwsza z brzegu
dusza kobieca — rana w niej zapiekła;
niegdyś ta dusza jaśniejszą od śniegu
miała być pono — dzisiaj krwią ociekła;
brud się tam z bólem dziwacznie układa,
nie wiem, czy karcić, czy koić wypada.

A oto starzec siwą schylił głowę
i tak mi prawi: długie, długie lata
szukam ja prawdy, już teorje nowe
przeszedłem wszystkie, stare systemata
zbadałem także... nigdzie odpowiedzi...
Wskaż ty mi światło, niech się duch nie biedzi.

Chłopska się dusza znowu mi odsłania —
prosta, lecz jakoś tak dziwnie stężała,
że grzeszny nawyk i błędne mniemania
wrosły w nią twardo, jak wrasta w grunt skała
i trzeba chyba tytanicznej siły,
by pod łask zdrojem błędy się skruszyły.

Jakże ja zdołam, taki słaby, młody,
umysłem prostak, sam grzechem zbarczony,
rozniecać w duszach blask jasnej pogody,
wieść je przed Boże, przenajświętsze trony,
jakże ja zdołam wskazywać im drogę?
Chrystus mi szepce: Ja ci dopomogę.

Ks. Franciszek Błotnicki.



Baszta miejska i pomnik św. Trójcy.

KARLSBAD

Wśród uzdrowisk o światowej sławie Karlsbad zajmuje niewątpliwie pierwsze miejsce. Zawdzięcza to on wielkiej obfitości ciepłych źródeł, bogatych w sole mineralne.

Został założony w XIV wieku przez Karola IV, cesarza Niemiec, od czego wziął swą nazwę. Wiąże się z tem ciekawa legenda. W czasie polowania jeden z psów, goniąc za jeleniem, poparzył się w gorącem źródle. Za radą lekarza, który uznał wartość leczniczą źródła, cesarz założył tu uzdrowisko.

Z pośród źródeł, których jest tu szesnaście, wysuwa się na czoło „Sprudel" o wysokiej temperaturze — 72 C. Jego wydajność jest zdumiewająca: wynosi 2.000 litrów na minutę, czyli 2,9 na godzinę o zawartości 19.000 kg. rozpuszczonej soli. Cztery miljony butelek wody z tego źródła idzie na cały świat. Na miejscu wypijają kuracjusze 23.000 kubków wody dziennie. Z niego czerpią też wodę wszystkie zakłady kąpielowe. Daje ono 100.000 kg. karlsbadskiej soli rocznie. W ciągu godziny źródło to wyrzuca przeszło 250 klg. gazu.

Obok „Sprudla" bardzo popularne jest źródło Mülbrunn o temperaturze 53° C. Inne źródła są też znane i cenione, jak Schlossbrunn, Marktbrunn, Kurhausquelle, Parkbrunn etc.

Od wieków zjeżdżają do tych źródeł chorzy ze wszystkich stron świata, a skutki kuracji budzą zdumienie.

Śpieszą tu przedewszystkiem cierpiący na złą przemianę materji, a zwłaszcza na straszną cukrzycę, dalej na schorzenia wątroby, nerek i dróg moczowych. Niemniej skutecznie leczą tu ludzie choroby przewodu pokarmowego: cierpienia żołądka i jelit. Jest to najogólniejszy podział chorób, których leczenie wskazane jest w Karlsbadzie.

Ale to tylko jedna strona tego cudu przyrody, jakim jest Karlsbad. Druga — to piękno jego pejzażu. Trudno o bardziej malowniczy zakątek, łączący w sobie urok gór i dolin z ich niezrównanemi źródłami, które ongiś szemrały wśród dziewiczych puszcz, a dziś ujęte ręką ludzką, biją wśród wspaniałych pałaców, will, domów, hoteli, restauracyj.

Cała okolica — to jeden olbrzymi i wspaniały park natury, prawie dziewiczy, ledwie przetrzebiony wspaniałemi drogami, których jest tu ok. 130 klm. Przechadzka po tym rozkosznym obszarze — to źródło miłych wzruszeń, kojących nerwy, sycących oczy pięknem natury, pielęgnowanej staranną ręką. Niema chyba w Europie uzdrowiska o tak niezwykłych warunkach naturalnych i tak wysokim poziomie kultury.

Wszystko tu — od wieków — urządzane jest z myślą o wygodzie kuracjusza. Każdy zakątek, który może zwrócić jego uwagę, ma wygodną i czystą ławkę dla spoczynku. A tych ławek tysiące na wszystkich dróżkach i serpentynach górskich!

W każdem ustroniu jest cukiernia lub restauracja. Oko wędrowca z rozrzewnieniem często spogląda na krzyże, wizerunki, kapliczki, u stóp których można się pomodlić na klęczniku przy akompanjamencie śpiewu ptasząt, poszumu drzew i szmeru strumyka.

A teraz w paru słowach jak wygląda dzień kuracyjny.

Raniutko koło godziny 6-ej i wcześniej budzi się tu życie. Tłumy śpieszą do źródeł wspaniałą promenadą nad brzegami rzeki, która przewija się przez miasto. Tu leżą wszystkie źródła. Najwięcej podąża ludzi do Mülbrunnu i Sprudla, co kilkunastometrową kaskadą tryska majestatycznie w górę.

Promenada przedstawia o tej porze wspaniały obraz. Różnobarwna i różnojęzyczna ciżba ludzka roi



Schlosbrunn.

się na głównej alei i pod kolumnadami. Powietrze jest jednak czyste, gdyż o tej porze nie wolno tu palić. Wilgotny oddech rzeki i górskie powietrze łagodzą upał. W czasie deszczu tłumy spacerują w kolumnadach.

Na powitanie kuracjuszy punktualnie o godz. 7-ej rano zaczynają grać orkiestry. Każda rozpoczyna hymnem do Boga. Tysiączne rzesze stoją jak wryte. Oto chwila skupienia i modlitwy. Myśl ludzka z błaganiem lub dziękczynieniem wznosi się ku Bogu, Stwórcy przyrody, który dla dobra cierpiącej ludzkości wyposażył Karlsbad w liczne dary natury. Czas picia wód trwa od godz. 7-ej do 9-ej rano. Potem jedni idą na śniadanie, a inni do kąpieli. Urządzenia łazienek imponują wygodą, wielkością, czystością i celowością. Są tu wszystkie rodzaje termoterapji według najnowszych wymagań wiedzy lekarskiej a więc kąpiele borowinowe, kwasowo-węglowe, gazowe, tlenowe, elektryczne, hydropatyczne i t. d.

Co dzień korzysta z nich 6—7000 ludzi. A jednak niema tu tłoku, długiego czekania, zamieszania, jak to często bywa w innych uzdrowiskach.

Po śniadaniu chwila ciszy. Zaludniają się wówczas czytelnie, a także place tenisa i golfa.

Nadchodzi pora obiadu, który najczęściej zjada się przygodnie, gdzie droga zawiedzie. Sprzyja tej swobodzie zwyczaj wynajmowania lokali bez utrzymania, oraz bezpieczeństwo kuchni. Wszędzie — w Karlsbadzie — gotują według wskazań kuracyjnych. Wystarczy powiedzieć, że kupiony przezemnie na odjezdnem ser, którym chciałem się posilić po karlsbadzkiej diecie, okazał się także kuracyjny — poprostu był zupełnie bez soli. Słowem cały Karlsbad — to jedna zmowa w interesie zdrowia jego gości.

Po obiedzie miasto zupełnie wymiera. Zato wypełniają się spacerowiczami drogi i serpentyny, kawiarnie i cukiernie położone wśród gór i lasów. Dopiero pod wieczór — koło godz. 5-ej — zbiega zewsząd ludzka ciżba i zapełnia tłumem kolumnadę i chodniki przy źródłach.

Nieograniczonemi panami życia kuracjuszy są lekarze. Oni tu dysponują niemal wszystkiem, a przedewszystkiem kuchnią. Kto przekroczył progi Karlsbadu, ten jest pod ich absolutną władzą i pod władzą ich sztabu: kucharek. Można tu jeść wszystko, ale tylko na 3 sposoby ściśle uregulowane przez aeropag lekarski.



Müllbrunn i promenada nad rzeką.



Sprudel.

Karlsbad, dzięki swym zaletom, ściąga kuracjuszy ze wszystkich stron świata. Oczywiście wśród różnojęzycznych tłumów słychać często język polski. W Karlsbadzie zresztą są liczne ślady polskości. Tutaj przebywał między innymi Mickiewicz, co uczczono przez wzniesienie mu pomnika i ufundowanie bibljotekę jego imienia w czytelni miejskiej.

Polscy kuracjusze najczęściej zasięgają porady lekarskiej dra. Oehm, doskonale mówiącego po polsku. I ja też trafiłem do niego. Bez trudu poznał, że jestem Polakiem, pozdrawiając mię po polsku. Najlepszym dowodem jego zainteresowań polskich jest to, że znalazłem w jego gabinecie dużo pism polskich, a między innemi i numery „Rodziny Polskiej". W rozmowie z nim zaczerpnąłem szereg szczegółów o historji, znaczeniu i urządzeniach Karlsbadu.

Cała gospodarka, tak świetna w swych wynikach, spoczywa w rękach miasta, którego przedstawicielem jest kurdyrektor p. Gischner.

Zasługą władz miejskich jest, że mimo wielkiej liczby kuracjuszy panuje wszędzie wzorowy porządek, a miasto, choć tak liczne, oddycha spokojem i ciszą. Jakież to ważne dla zmęczonych nerwów. Naturalne dary Karlsbadu są więc mądrą ręką jego zarządu należycie wyzyskane i kierowane.

Ks. Dr. Z. Wądołowski.

ŻOŁNIERZ POETA

(W DZIESIĘCIOLECIE ZGONU).

Kiedy w dniu 19 kwietnia 1922 roku w Zakopanem Eugenjusz Małaczewski, zmorzony długotrwałą chorobą, spoczywał na łożu śmierci, zdawało się czuwającemu przy nim najwierniejszemu z przyjaciół, iż w onej jeszcze godzinie, z obliczem zwróconem ku widniejącemu w oddali za oknem szczytowi Giewontu, poeta ogarnia ostatniem miłującem wejrzeniem ten jasny szczyt, symbol wszystkiego, co tutaj ukochał na ziemi.

Całe krótkie życie tego poety z Bożej łaski, jednocześnie wiernego „żołnierza Rzeczypospolitej“, który w ponurych latach krwawej wojny „ziemię wzdłuż i wszerz stopami swemi przemierzył“, na Murmanie „w awangardach wszystkich ataków i w arjergardach wszystkich odstępowań“ ciężką przeżył epopeję, wreszcie jako oficer armji Hallera ostatnie jeszcze walki na własnej ziemi stoczył, — jest upornem, bez wytchnienia, bez oglądania się na innych, bezustannem dążeniem na szczyty. Już w drugim roku wielkiej wojny, powołany do szeregów armji rosyjskiej, „na stos rzucił swój życia los“ bez pamięci o sobie i tam, „gdzie śmierć po swej arenie milowym krokiem chodzi“, szedł nastawiając pierś i czoło przeciw gradowi kul, jak ci, co „niosą drapieżną, wichro-włosą, zaciętą gniewem twarz, a okiem oddal mierzą, niezgięci idą wprost...

Małaczewski wszędy widzi naród swój cierpiący i w duszę jego wchodzi, „jak wielki szloch, Ojczyzna“! Zanim ją wyśnioną własnemi powita oczyma, — tam w piekle czerezwyczajki, w ogniu rozpaczliwych na Murmanie bojów, niesie już w piersi swej wykołysany, posągowy tej Ojczyzny kształt.

Jest jednym z tych żołnierzy niezłomnych, co

„duchem twardzi
i sercem, jak kłos, prości,
bagnetem się upomną
o prawo do wolności“...

poto, aby: „tak targnąć dziejową szalą, aż się losy, znaczone gwiezdnemi wróżby, przeważą, iżby naród na cały świat rozsłonecznił się twarzą“.

Albowiem już wtenczas, choć może nie ujął jeszcze tego w słowa, uświadomił sobie i pojął, że:

„Prawo Boże, co gwiazdom biegu wykreśla kręgi,
przed dziewięciu wiekami Polsce — jej drogę potęgi,
świetnej niby komecie, raz wykreśliło na zawsze,
odtąd szła po niej wiernie“...

„Mija dziewięć stuleci, odkąd trwa czynem na szańcu — wieczny żołnierz Chrystusa, Rębajło jego idei“, — naród polski, który „z dziejowej zawiei wstaje, za miecz porywa, ręką, zwyczajną oręża, dziwnie walczy — zaiste! po archanielsku zwycięża“!

Lecz „mało rzucić na szalę jedynie wagę oręża —
Cała Rzeczpospolita niech dzisiaj ramię natęża,
wrośnie wszystka w to ramię, wspólnym wysiłkiem
[niezłomne“.

Nie tu kończy się jednakże czyn tego prawego „Rycerza Ducha Polskiego“, natchnionego pieśniarza wiosny polskiej. Tęsknocie swej ku ideałom, dążeniu do osiągnięcia szczytów, pozostaje wiernym w każdym momencie i na każdym odcinku swej życiowej drogi, o świcie i w godzinie zmierzchu swego krótkiego żywota. Krótkiego, gdy liczyć będziemy jedynie znikomą ilość przeminionych lat, zamiast brać pod uwagę rozległość horyzontów, które czujnym jasnowidzącym duchem ogarnął. Pozostaje wiernym, bo trwając na dobrowolnie obranym posterunku, usłyszał głos, wołający, iż:

„nadszedł cudów czas...
na piaskach pustyń len zakwitnie
i wstanie i zaszumi las
z fal, które śmieją się błękitnie“...

Więc, świadom tego, iż jest podobnie jak z nas każdy: „w ogniwa tej przemiany włosami grzesznej duszy wplecion, jak w wir potężnych jakichś wrzecion, na których przędzie Nienazwany“... — rozpoczyna, przedewszystkiem od siebie, tytaniczną pracę ducha i „między sobą a szatanem podział czyniąc“, rzuca nam słowa płomienne, które przez moc, zrodzoną z jego niezłomnej wiary, stają się nakazem:

„Masz ż miłości wszelkiej zwić
jedyną nić, słoneczną nić,
i we wrzeciona te ją wpleść,
byś mógł i ciało za nią wznieść...
Jak plewę zbóż otrząśniesz błąd
i porwiesz Morzem duszy ląd
cielesny, aby mknął obłocznie
w ocean ducha“...

Przemienił się trud znojny wiernego żołnierza Rzeczypospolitej w twórczy świadomy czyn człowieka, bowiem wybiła już na zegarze dziejów godzina zmartwychwstania Polski, czas nadszedł, by szpady przekuć na lemiesze, wziąć „serce w drżące palce“ i ponieść je w ludzki świat, „wino miłości jak do czar do serca wlać i słodycz czynu z rąk otrząsać — niby grad czereśni“...

Poeta wstępuje na wyżyny. Otrzymuje objawienie Boga.

„od skier — nad ciałem
spłonął złudzeń dach...
błękit ujrzałem
i zdjął mię Twój strach“...

Ton religijny głuszy tony inne.

„...oto Słowo
spożywam, jak chleb,
pod strzechą nową:
lazurem Twych nieb“.

Ukończywszy walkę orężną o Polskę, poeta do niebios szturmuje teraz — duchem, a z dwu tych jego życiowych czynów bierze początek i wysnuwa się jako dalsze konieczne ogniwo trzeci zkolei czyn Małaczewskiego, jako — poety.

Leżą przed nami dwie małe książeczki, zawierające wszystkie jego dotąd nam znane utwory.

Silić się nie mam zamiaru tutaj na skreślenie dokładnej sylwetki Eugenjusza Małaczewskiego, jako ar-

tysty. Wymagałoby to obszerniejszego studjum. Niech uczynią to inni, bardziej może do tego powołani. Chodzi mi jedynie — w dobie dzisiejszego przygnębienia moralnego, wyschnięcia źródeł ofiarnego czynu i niebywałej posuchy na niwie poezji polskiej — o przypomnienie społeczeństwu świetlanej postaci poety. Niechaj każdy, komu prawdziwe oblicze ducha narodowego nie jest obojętnem, młodzież zwłaszcza nasza niech śpieszy zaczerpnąć z kryształowej krynicy natchnienia jednego z nielicznych z pośród nas wybranych. Znajdzie tam bogactwo treści, wielkość idei, piękno podane w formie prostej a wytwornej. Przemówi z tych kart poeta, który znalazł własny wyraz dla własnej nieprzemijającej treści.

Z sieroctwa najwcześniejszych dziecięcych lat swoich, z twardego żołnierskiego trudu, z życiowych zmagań i klęsk Eugenjusz Małaczewski wyniósł nie gorycz zwątpienia, lecz wiarę głęboką w połączeniu z najczystszem natchnieniem. Nie o sławie przeto własnej marzy, nie o doli swojej śpiewa, a jeżeli nawet niekiedy i o sobie wspomni, wszystkie swe pragnienia taką oto wypowiada modlitwą:

„Orle świętego Jana, polski Orle biały,
...Otchnij mię wielkim wiewem srebrnopiórych skrzydeł,
bym mógł wyjść duchem z ciała, jako mgła poranna,
bym miał na ściech ogień proroczych wędzideł
i śpiewał Panu memu: Hosanna! Hosanna!
A niech każda pieśń moja w uściech od płomieni
Zapali się — jak bocian od pożaru dachu,
Na którym zwił swe gniazdo z łąkowej zieleni —
I zapalona — leci, cała w bożym strachu,
by spaść na dusze polskie rozżagwionym kłębem,
jako lampa z oliwą, co rzucona, bucha!
Iżby one, spłonąwszy, jak gromnice, z ducha
Zasiały w koło społem pod słowiańskim dębem.
Tam będziemy się modlić pod obłokiem z liści
(a liście szept powtórzą szeptem, aż do szczytu):
niech w tem kole piastowem przez Syna się ziści
To, co Ojciec nam przyrzekł z królestwa błękitu

Takim jasnym płomieniem rozbłysła pieśń jego ducha śród szarzyzny powojennego życia i mroków powojennej sztuki. Niestety, na krótko: bezlitosna śmierć, przecinając pasmo życia, zdmuchnęła płomienną pochodnię. Zgasła w rozkwicie lat i w rozkwicie talentu. Ogólny żal towarzyszył wieści żałobnej. W życiu codziennem bowiem, w stosunkach z ludźmi, cechowała poetę ta sama promienność i wytworność ducha w połączeniu z prostotą obcowania, subtelnością słowa i rasowym wdziękiem postaci.

Eugenjusz Małaczewski urodził się w roku 1896 w Humańszczyźnie, gdzie rodzice jego posiadali niewielki szmat ziemi. Ojca stracił we wczesnem dzieciństwie, matka wyszła zamąż powtórnie, gdy zbliżył się czas nauki szkolnej, wrażliwy chłopiec znalazł się sam jeden wśród obcych. W tych warunkach ukończył w Humaniu 4-klasową szkółkę miejską, poczem, nie przechodząc szkoły średniej, został oddany do kancelarji znanego adwokata. Tam „ukryty za stosami aktów i ksiąg prawniczych", obserwował ludzi i życie i czytał bez wytchnienia wszystko, co mu w rękę wpadło. Poznał w tym czasie gruntownie literaturę rosyjską, w tym języku studjował też przeważnie arcydzieła wszechświatowej literatury. Dziełami trójcy wieszczów naszych przemówiła do niego wówczas po raz pierwszy literatura ojczysta. Uwielbienie jego dla Sienkiewicza nie miało granic, później nieco silny wpływ wywarł na niego Żeromski, zwłaszcza powieścią „Popioły" i czarem swej mistrzowskiej prozy. Norwida „odkrył" dla siebie znacznie później, już w kraju i, oczarowany, z uniesieniem młodzieńczem obwołał bez zastrzeżeń mistrzem swoim. W roku 1915, wcielony do szeregów rosyjskich, poznaje Małaczewski trud i znój wojny w mundurze prostego żołnierza. Dzięki staraniom opiekuna swego dostaje się po pewnym czasie do szkoły podchorążych w Kijowie, a po jej ukończeniu przechodzi do I korpusu Rok 1918 zastaje go w legji oficerskiej Pieńkowskiego, z którą rozpoczyna w maju krwawy pochód przez Podole, poczem udaje się na północ, dążąc na Murmań, przemierzając wśród niewypowiedzianych przeżyć i niebezpieczeństw niejednokrotnie życiu grożących, całą Rosję z południa aż do Białego morza. Straszliwą tę odysseję, której nikłe echo zaledwie znajdujemy w przepięknych jego opowieściach, zakończył szczęśliwie, natknąwszy się przypadkiem już prawie u kresu sił na statek angielski, przybyły do Archangielska. Po kilkomiesięcznych uporczywych walkach na Murmanie, zaliczony między „lwy północy", powraca wreszcie w mundurze oficera wojsk polskich przez Anglję i Francję do Polski na Wielkanoc roku 1919 i tutaj bierze odrazu, po krótkiem zaledwie wytchnieniu, udział w walkach o Małopolskę Wschodnią.

Zaledwie ucichły działa, gromko ozwała się natchniona Muza poety. W ciągu bardzo krótkiego czasu powstaje w roku 1919 zbiór poezyj „Pod lazurową strzechą". Jednocześnie poczyna Małaczewski pisać prozą, której pierwszą próbę daje w opowieści „Blokhaus pod Syreną". Utworem tym rozpoczyna cały szereg oryginalnych opowiadań, skwapliwie rozchwytywanych i drukowanych przez czasopisma stolicy. Małaczewski dosłownie „bierze szturmem w jednym dniu niemal prasę, literaturę i publiczność". Tom opowiadań p. t.: „Koń na wzgórzu", który poprzedził wydanie poezyj, spotkał się z niebywałem wprost powodzeniem, czego doczekał jeszcze poeta, coraz już częściej i ciężej zapadający wówczas na zdrowiu. Nie ujrzał już wydrukowanego później zbiorku poezyj „Pod lazurową strzechą", ukazał się on bowiem na półkach księgarskich dopiero w kilka tygodni po śmierci autora.

Niepodobna dziś orzec, czem obdarzyłaby Polskę w przyszłości lutnia poety, gdyby nie było jej sądzonem zamilknąć tak wcześnie, stwierdzić jedynie można, iż dziwnie sposępniał ton ogólny pieśni naszej rodzimej, odkąd w jej chórze głosu Małaczewskiego zabrakło.

Pożądanem byłoby wielce — a sądzimy, że w tych słowach naszych wypowiadamy pragnienie całego społeczeństwa — aby zarówno ze względów wyżej wymienionych jak i przedewszystkiem dla uczczenia pamięci poety w dziesięciolecie jego zgonu, pomyślano corychlej o drugiem wydaniu jego pism, pomnożonym materjałem, spoczywającym dotąd w rękopisie

Materjał ten istnieje. Powierzony opiece troskliwej, czeka chwili odpowiedniej, by dostać się do rąk prawdziwych miłośników poezji i czytającego ogółu, spragnionego rzetelnego twórczego słowa.

Nie będzie chyba omyłką twierdzenie, iż obecna rocznica, jest właśnie tą chwilą — najodpowiedniejszą.

Wacława Grodzicka-Czechowska.



Drużbowie pana młodego w Podegrodzie k/Nowego Sącza. Ilustracje zaczerpnięte z „Wiedzy o Polsce".

WIEDZA O POLSCE

(DLA DOMU I DLA SZKOŁY) *).

W tak ciężkim kryzysie, jaki obecnie państwo przeżywa, trudno pozwolić sobie na specjalne monografje, rozprawy, prace i podręczniki z dziedziny nauki, zwłaszcza, że takie książki charakteryzują najczęściej albo krótki okres historyczny, albo pewne zagadnienie z zakresu kultury narodowej, tymczasem czytelnikowi najczęściej chodzi o całość treści.

Z drugiej strony wyżej wymienione dzieła historyczne są pisane nie dla wszystkich, a raczej dla fachowych jednostek, które intelektualnie są już należycie przygotowane. Nie wszyscy zainteresowani i łaknący wiedzy zamieszkują większe środowiska kulturalne. Większość zajmuje stanowiska biurowe, lub nauczycielskie na zapadłej prowincji, do której rzadko dociera dobra książka.

Jednak nauka polska postępuje szybko naprzód, oświetla przeszłość nowemi metodami, opartemi na nowych, wyszukanych materjałach historycznych.

Niektóre wydawnictwa wpadły na doskonały pomysł wydawania dziejów kultury polskiej, ujętych jak najpopularniej, ale opartych na prawdzie historycznej, uzupełnionych bogatemi ilustracjami.

Właśnie mam na biurku trzytomowe dzieło „Wiedzy o Polsce", obejmujące całą humanistyczną kulturę polską od czasów najdawniejszych, aż do współczesnych. Tom trzeci „Wiedzy o Polsce", poświęcony geografji fizycznej, politycznej i gospodarczej pomijam i przekazuję do oceny fachowcowi, zato interesuje mnie tom pierwszy i drugi tak poważnego wydawnictwa „Wiedzy o Polsce".

Przedewszystkiem wydawnictwo wybrało doskonały zastęp współpracowników naukowych, rekrutujących się ze sfer uniwersyteckich i literackich, również autorzy i znawcy przedmiotu doskonale zdawali sobie sprawę z treści i formy swych rozpraw. Pisali je przystępnie, popularnie, na czem nauka polska nic zgoła nie ucierpiała, raczej zyskała, bo zainteresuje napewno szersze masy inteligencji polskiej, a zwłaszcza nauczycielów szkół powszechnych i urzędników, jak również młodzież zakładów naukowych.

Chętnie weźmie do ręki tomy „Wiedzy o Polsce" literat i uczony, znajdując tam nowe źródła i przepiękne ilustracje z zakresu antropologji, prehistorji, dziejów ojczystych, teatru, muzyki, sztuki ludowej, portrety wybitnych mistrzów pióra lub kompozytorów muzycznych.

Zainteresowany w tomie pierwszym znajdzie prace dr. Eugenji Stołykwo: „Antropologja polska", prof. Józefa Kostrzewskiego: „Pradzieje

*) Wiedza o Polsce (Wydawnictwo „Wiedzy o Polsce" — Warszawa 1932). Tom I. Antropologja, Prahistorja i Dzieje polityczne Polski, tom II. Dzieje i zabytki języka polskiego, oraz historja literatury polskiej, tom III. Geografja fizyczna, polityczna i gospodarcza ze szczegółowem uwzględnieniem etnografji.

ziem polskich", prof. Stanisława Poniatowskiego: „O pochodzeniu ludów aryjskich", prof. Kazimierza Tymienieckiego: „Słowiańszczyzna pierwotna" i „Dzieje polityczne Polski piastowej", prof. L. Kolankowskiego. „Dzieje polityczne Polski jagiellońskiej", reszta zeszytów w przygotowaniu.

Tom drugi obejmuje narazie „Dzieje i zabytki języka polskiego" prof. St. Słońskiego, historję literatury polskiej od początku do roku 1863. Doc. dr. Konrada Górskiego, oraz literaturę polską po powstaniu styczniowem, aż do chwili obecnej Jana Lorentowicza; dalsze zeszyty w druku. Niektórzy z wyżej wymienionych współpracujący w wydawnictwie Trzaski i Michalskiego w Warszawie (Literatura Powszechna i Polska — jej dzieje i kultura), jednak właśnie w „Wiedzy o Polsce" zupełnie inaczej oświetlili zagadnienia historyczne, według mnie trafniej i poważniej.

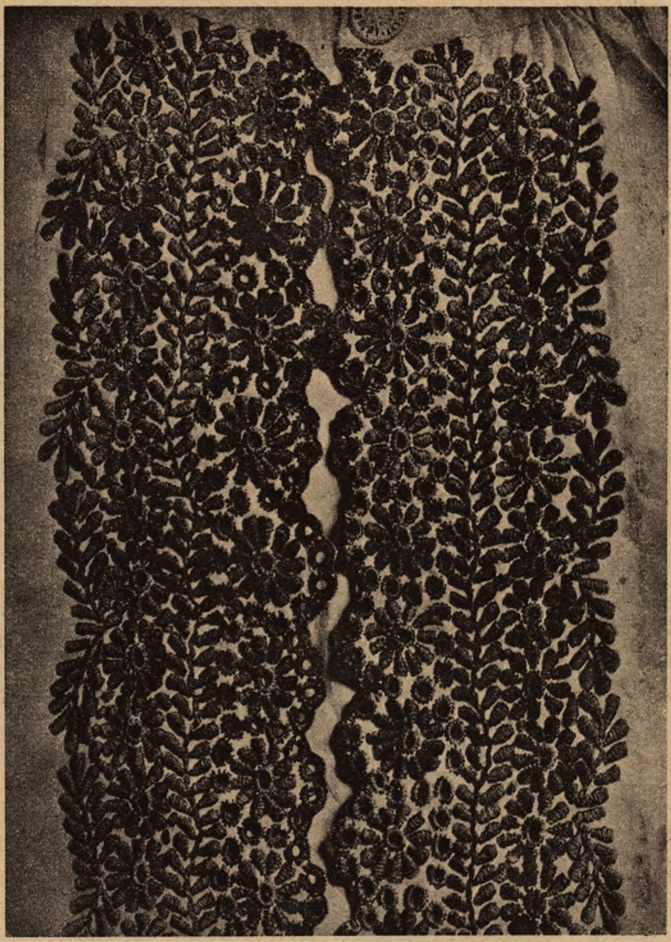


Skrzynia malowana z krakowskiego.

Lecz są to drobne i nikłe minusy poszczególnych opracowań wobec wielkich zalet całości „Wiedzy o Polsce".

Można to trzytomowe dzieło polecić nietylko nauczycielstwu, szkołom, ale i każdemu inteligentnemu Polakowi, bo jest poważne i treścią cenne.

Paweł Krzowski.



Gors koszuli kobiecej w Chełmiec Polski p. Nowy Sącz.



Czepiec z chustki w Koszyce p. Pińczów.

DON JOSE ST. NOARRO.

ZARĘCZYNY W KAJDANACH

Z CYKLU „GOŁĘBICA I JASTRZĘBIE".

— Pan jest Zawucki? — zapytał.

— Tak.

— Pańskie nazwisko nie jest notowane dotąd w naszych spisach.

— Nigdy nie zabiegałem o ten zaszczyt.

— Teraz go pan dostąpi.

— Pani się nazywa Marja Alviati, jest pani przyjaciółką Anny Amalvi. Ma pani wykonać jej polecenie.

Anna siłą woli powstrzymała zdumienie z tej rewelacji.

— Tak! — rzekła cicho.

— No oczywiście! My wszystko wiemy. Inaczej być nie może.

Anna, która poczynała się już orjentować w grze Dżemsa, uśmiechnęła się.

— Pani się śmieje! — zaperzył się szef wywiadu.

— Kobieta zawsze się śmieje, kiedy chce ukryć łzy — rzekł sentencjonalnie Dżems.

— Jawohl — śmiał się Niemiec.

— Czy rzeczywiście tak głupi, czy tylko gra rolę naiwnego — pomyślał Dżems.

— Pani nam dopomoże do odcyfrowania teki Amalvi.

— Teki Amalvi? — zdziwiła się Anna, którą ścisnęła za serce żałość i wściekłość. — Wszystko stracone — pomyślała — niema chyba sposobu wydostania stąd tej teki. — Skąd panowie macie rzeczy Anny? Czy stało jej się co złego? — rzuciła przebiegle i z brawurą.

— Nic złego! Poprostu utonęła — śmiał się rubasznie Niemiec. — Nasi ludzie wyratowali jej rzeczy. To ma dla nas wartość.

Anna zamilkła wobec tego popisu cynizmu.

— Och! nigdy nie uwierzę, żeby moja przyjaciółka już nie żyła. Taka była dobra — rzekła śmiało. — Umrę po niej z żalu!

Hrabia i Dżems patrzyli z podziwem na jej dzielną postawę. Zręczność z jaką Anna wczuła się w nową rolę, godna była szacunku i zachwytu. Obudziła się w Annie mistrzyni wywiadu.

— Pani powinna dla nas żyć. Pani dopomoże nam do wykorzystania spadku po Amalvi — cedził spokojnie oficer.

— Och, to będzie dla mnie za bolesne — rzekła Amalvi nieomal ze łzami.

— Bardzo mi przykro! Ale nie możemy sobie odmówić skorzystania z usług pani — rzekł Niemiec, który uznał za stosowne wobec drżących w głosie Anny łez pokazać się choć trochę dżentelmenem.

— A zresztą panowie nie mogą wymagać odemnie, bym wbrew woli mej przyjaciółki oddała jej tajemnice. Stąd może wyniknąć jakieś nieszczęście.

— Pani jest zabobonna — rzucił przebiegle Niemiec — w XX wieku to nie wypada.

— Jeśli uczciwość jest dla pana zabobonem, w takim razie jestem zabobonna.

— Ależ droga pani — rzecz przedstawia się nie tak znów strasznie — uważał za stosowne wtrącić się Dżems, który zaczął obawiać się, by Anna nie przeholowała.

— Straszne jest zawsze, gdy się jest zewsząd osaczoną — zaperzyła się Anna, którą znów opanował cały jej dawny niepokój i zniechęcenie. Nieomal z nienawiścią patrzała na Dżemsa, w którego chytrej i dwulicowej grze dojrzała nowe źródło swych niepowodzeń.

Rozumiała, że Dżems pragnął na niej odwetu, za niedawne upokorzenie. Nie spodziewała się jednak, że po deklaracji zgody i współpracy, postąpi sobie tak podle. Anglicy są obłudni — zakonkludowała.

Zawucki, jak każdy zakochany, głęboko wczuwał się w stan duchowny Anny, gotów wyrazić jej w każdej formie współczucie choćby wbrew zdrowemu rozsądkowi.

— Przykro jest, gdy nasze czyny zależą od przymusu, a nasz los jest pastwą zdrady niedawnych przyjaciół — rzekł ostro.

Dżems zacisnął tylko szczęki.

Niespodziewanie w sukurs przyszedł mu szef, który zaczął silić się na kurtuazję.

— Droga pani. Pozory mylą! Ja tylko proponuję pani pewien interes, który mam nadzieję nie przeszkodzi nam zostać przyjaciółmi. Za trochę ekstrawagancki sposób przybycia państwa bardzo przepraszam. Mam nadzieję, że moi agenci nie przekroczyli instrukcji. Pana hrabiego wogóle niepotrzebnie fatygowaliśmy, ale wydało nam się bardziej ludzkie nie rozłączać go z p. Alviati, której los mógł mu przyczynić wiele niepokoju. Tak, jest pan odrazu o wszystkiem poinformowany. Uśmiech łączący chytrość i oblesność okrasił jego dostojne oblicze.

Niemiec, wygłosiwszy to długie przemówienie, aż odsapnął. Jego lakoniczny umysł i język dokonał rzeczywiście niebywałego wyczynu.

— Mocno zobowiązany — mruknął Zawucki, któremu to przemówienie dało do myślenia. — Odczuł w niem reżyserję Dżemsa, i choć wciąż nie rozumiał celu tej niebezpiecznej a groteskowej gry, począł jednak chwytać sens obecnej sytuacji.

Rozegrywa się tu jakieś qui pro quo, które może przynieść wielką korzyść ich zamierzeniom.

Trzeźwy Anglik musiał dokładnie obliczyć wszystkie szanse i ryzyko, kiedy się wziął do tego szaleństwa.

Zawucki zrozumiał, zwłaszcza po minie Dżemsa, że trzeba się znaleźć pojednawczo. Podjął więc interwencję zwracając się do Anny:

— W naszem położeniu nie pozostaje nam nic innego, jak pójść na rękę tym panom. Oczywiście cena nie może być poniżej naszej godności.

— Jakaż to cena? — zapytał szef.

— Wolność! — rzucił Zawucki.

— No tak! Cóż pan myśli o tem? — zwrócił się do Dżemsa.

— To było do przewidzenia! Godność ludzka zaczyna się zawsze od wolności — rzucił dyplomatycznie Dżems.

— Oczywiście — odparł szef Jak tylko nie będziemy potrzebowali korzystać z usług państwa, natychmiast nie będziemy krępowali zupełnie swobody ich ruchów. Obecnie jednak proponujemy zamieszkanie w apartamentach, położonych na terenie naszego laboratorjum Będzie to dla obu stron wygodniejsze.

— Dziękujemy za tak zaszczytne zaproszenie — rzuciła ironicznie Anna, która wyrwała się z chwilowej apatji. Nigdy nie wątpiłam o wielkoduszności Niemców.

Niemiec nie zauważywszy ironji, połknął komplement.

— O właśnie, takim językiem prędko się dogadamy — uśmiechnął się ckliwie. Zawsze byłem przekonany, że Włochy i Niemcy winna łączyć najściślejsza współpraca. Cieszę się, że przynajmniej w zakresie mych wpływów mogę ją zrealizować.

— Miejmy nadzieję, że dalszy jej rozwój nie będzie zbyt przymusowy.

— Bywa słodki przymus! — jak powiada nasz poeta Heine. To było widowisko godne bogów Olimpu: szef wywiadu cytujący poetę.

— Och Heine rozumiał Włochy! — zapluwał się Niemiec zachwytem.

— Nietylko rozumiał. Kochał je, podobnie jak Goethe — dorzucił Dżems, rad wielce, że rozmowa przybiera bardziej przyjazny obrót.

— Będę wielce rad, jeśli zdołamy się na początek choć porozumieć, jakkolwiek nie wyrzekam się i tej drugiej możliwości. Do Włoch i pięknych Włoszek, należy się zbliżać na skrzydłach sentymentu.

Anna zbyła milczeniem te afektacje. Niemiec przeszedł więc do prozy.

— Zamieszkają państwo w jednym z pawilonów. Za parę godzin poproszę panią do gabinetu szyfrów i będę wielce zadowolony jeżeli jej usługi przyniosą pożądany owoc.

Na tem skończyła się ta niezbyt przyjemna rozmowa.

Znów pod eskortą poszli mrocznemi korytarzami.

Po chwili znaleźli się na obszernem podwórzu, otoczonem czworobokiem budynków o płaskich i niczem nie przyozdobionych ścianach, jeśli nie liczyć wielkich okien, błyszczących dobrze wyczyszczonemi szybami.

Zaprowadzono ich do pawilonu, który krył we wnętrzu rzeczywiście szereg luksusowo urządzonych mieszkań.

Po jednej stronie korytarza były położone pokoje Anny, po drugiej Stefana.

Wszystkie poprzednie wypadki znalazły swe źródło w inicjatywie dość ryzykanckiej Dżemsa. Po rozstaniu się w Hamburgu z naszą parą Dżems zabrał się do studjowania berlińskiej prasy. Odrazu rzuciły mu się w oczy informacje o katastrofie w kanale La Manche, której ofiarą padła „znana w pewnych kołach hr. Amalvi".

Dżemsa zastanowiło nie tyle to określenie, ile fakt, że prasa niemiecka podawała zgon Amalvi jako pewnik. „Intencja starczy za uczynek" mruknął Dżems. Trudno jest mieć wątpliwość, komu zależało właściwie na takim obrocie sprawy. Najciekawsze rzeczy znalazły się natomiast w jednej z gazet socjalistycznych, której korespondent jak widać wcale dobrze poinformowany pisał złośliwie, że ta uciecha z powodu katastrofy włoskiej hrabiny jest przedwczesna, ponieważ jej „spadkobiercy berlińscy" nie mają już gdzie zaczerpnąć informacyj co do wykorzystania spadku pozostałego po zmarłej.

Dżems aż podskoczył z radości. Socjalistyczna szmata, lubująca się jak widać w robieniu szykan rządowi, w tych dyskretnie niedyskretnych niedomówieniach dawała do zrozumienia, że jest poinformowana o tem i o owem. Dżemsa uradował ten szczegół. Zaczął rozmyślać nad całą sprawą. Powoli zaczął wykluwać mu się pewien plan działania, którego ryzykanctwo początkowo przestraszyło nawet samego autora.

— Jak widać wywiad niemiecki ma kłopot z walizą Anny. Fakt ten skonstatował Dżems z podwójną satysfakcją. Najpierw, że nadawał on wiarogodności słowom Anny, której Dżems miał swoje powody nie ufać, a następnie, że otwierał możliwości wydostania z rąk niemieckich tak cennego skarbu. Jak to osiągnąć? A jeśliby tak udać się wprost do centrali wywiadu w Berlinie, zaofiarować swe zasługi i wciągnąć pod jakimś pretekstem Annę.

Myśl była śmiała aż do zuchwalstwa. Lecz właśnie takie rzeczy lubił nasz Anglik. Zaczął więc w szczegółach opracowywać swój plan.

Po opuszczeniu pociągu kazał się zawieźć do centrali wywiadu. I jego również, podobnie jak potem Zawuckiego, zastanowiły techniczne urządzenia centrali.

— Wyfrunąć z tego gniazdka to nie łatwa sprawa! — skonstatował. — Lecz co ludzie zrobili, to człowiek może opanować — uzupełnił filozoficznie swą refleksję.

Kazano mu dość długo czekać na rozmowę z szefem. Uśmiechnął się na ten głupawy nieco, choć nie bez powodzenia wobec prostaczków, sposób wymuszania szacunku dla urzędu i władzy. Raz jeszcze zbadał wszystkie motywy i elementy swego kroku, rozważył wszystkie szczegóły, aby nadać swemu działaniu niezłomną precyzję.

(D. c. n.)





Od 3 do 6 lipca odbywał się w Pradze słowiański zlot Sokołów, na którym była reprezentowana liczna grupa polskich sokolic i sokołów. Czechosłowacja przyjęła bardzo serdecznie naszych przedstawicieli, stwierdzając przez to swą sympatję do bratniego narodu. Powyżej podajemy malowniczy fragment ze zlotu Sokołów w Pradze.

BAUDELAIRE WOBEC KATOLICYZMU

Twórczość Baudelaire'a przedstawia interesujące zjawisko dla badawczej myśli katolickiej. Ten, który za dwie zasadnicze własności literackie uznawał nadprzyrodzoność i... ironję, zasługuje z uwagi na tę pierwszą na bliższą analizę. Nic dziwnego, że uznając nadprzyrodzoność, choć zapewne nie we wszystkiem zbliżał się do ortodoksji katolickiej, mówił: trzy są osoby godne szacunku: kapłan, wojownik i poeta. Wiedzieć, zabijać, tworzyć*). Możnaby się sprzeczać z nim, dlaczego wojownika wyróżnia za prawo zabijania, a nie za obowiązek obrony, lecz trudno nie podkreślić, że pierwsze miejsce zastrzega dla kapłana.

„Kapłan jest olbrzymem, sprawia bowiem, że się wierzy w mnóstwo dziwnych rzeczy. *„Jest prawem umysłu ludzkiego, by Kościół wszystkiem chciał być i wszystko robić.* Ludy ubóstwiają władzę. Kapłani są sługami i kacerzami wyobraźni". To ostatnie zdanie jest zupełnie niezrozumiałe, lecz poprzednie myśli przekonywujące.

Rozumiejąc tak głęboko i poważnie rolę Kościoła jako instytucji uniwersalnej — Baudelaire musiał ostro piętnować areligijność naszych czasów. To też woła:

*) Wielcy są wśród ludzi tylko poeta, kapłan i żołnierz: człowiek, który śpiewa — człowiek, który błogosławi — człowiek, poświęcający i poświęcający się. Reszta istnieje dla knuta (?!).

„Ludy cywilizowane, które wciąż paplacie głupio o dzikusach i barbarzyńcach, *nie będziecie wkrótce,* jak mówi d'Aurevilly, *już nawet godne być bałwochwalcami*". Słowem w zaniku religijności widzi przyczynę upadku kultury, która stawia „ludy cywilizowane" poniżej dzikusów. Trudno się jednak w życiu obyć bez pierwiastków jednoczących. To też zakładane są rzekomo „dostojne religje — oparte na szalbierstwie". Na wierze w postęp — który jest „doktryną leniuchów". Postęp pojęty materjalnie obniża człowieka do poziomu maszyny, czy zwierzęcia. To jest ten postęp, który kazał Voltairowi „naigrawać się z duszy nieśmiertelnej, która przez dziewięć miesięcy przebywa wśród kału i moczu".

Taki postęp do takich prowadzący ujęć — to dowód „lenistwa myśli, która boi się zmartwychwstania".

Poeta oburza się na „ciężko głupich, co się spuszczają na swe dobre serca i zdrowe rozsądki".

Przypomina się tu mickiewiczowskie: „Rzekł głupiec w sercu swojem, niemasz Boga".

Jest to poszept szatana, który kusi nietylko genjalnych, ale i głupich.

To też przeciwnicy duszy, powiada Baudelaire, są przeciwnikami piekła. Są w tem niewątpliwie zainteresowani. Lecz najczęstszym jest ów gatunek ludzi poczciwych, którzy mówią, że wierzą w Boga. Ci ludzie niczem się w życiu nie gorszą, nie mają żadnych zasad moralnych, lecz przy nadarzającej się sposobności

twierdzą, że wierzą w Boga, i że są wysoce religijni. To też poeta z sarkazmem powiada o takiej religji: uważam za zbyteczne mówić o niej i szukać jej resztek, skoro zadawać sobie trud negowania Boga, to w danych okolicznościach jedyne zgorszenie.

Poeta zieje wprost świętem oburzeniem i nienawiścią do takiej mizernej, pozbawionej konsekwencyj moralnych religijności.

Dla takich ludzi bez skrupułów „Bóg jest zgorszeniem, zgorszeniem zyskownem“.

Jest także inny gatunek ludzi, którym się wydaje, że opanowali życie, że są wyżsi ponad wszystkie boleści i radości. Jakie to beznadziejne, nie odczuwać ani radości a tem bardziej cierpienia. „Stoicyzm: to religja, mająca jeden tylko sakrament: samobójstwo“!

Przedewszystkiem jednak oburzenie poety skierowuje się przeciw różnym postaciom ersatz-religijności.

„Cóż dzisiaj nie jest kapłaństwem? Jest niem nawet młodość — wedle twierdzenia młodzieży. A cóż nie jest modlitwą? „Wydzielanie jest modlitwą, jak twierdzą demokraci, wypróżniając się“. Baudelaire jakby przeczuwał przyszłych piewców ekskrementologji, jak Joyce i in. Zwłaszcza potępia francuskich „lubowników gnoju i skatofagów“.

Zainteresowanie Baudelaire'a zwraca się przedewszystkiem ku zagadnieniom religijnym. “Zajmujące są na ziemi tylko religje. Istnieje religja powszechna, stworzona dla alchemików myśli, t. j. religja wyłaniająca się z człowieka, rozważanego jako boskie memento“. Jest to nieco mętne. Uzupełnieniem o wiele bardziej w duchu ortodoksji jest jego „teorja istotnej cywilizacji. Nie tkwi ona w gazie, ani w parze, ani w stolikach wirujących. Tkwi ona w zmniejszaniu się śladów grzechu pierwotnego“. Świadczy to, że Baudelaire wspierał swe koncepcje na tajemnicy Odkupienia.

To też Baudelaire boleśnie odczuwa dwoistość natury ludzkiej, skażonej przez grzech.

„W każdym człowieku tkwi każdej chwili podwójny pociąg, z jednej strony do Boga, z drugiej do szatana. Zew do Boga czyli duchowość, jest chęcią wznoszenia się; zew do szatana, czyli zwierzęcość, jest radością upadku“. (W innem miejscu powiada, że jest wielce charakterystyczne dla człowieka wyobrażenie szatana w postaci zwierzęcej).

Ta tragiczna dwoistość człowieka przez chwilę napełnia Baudelaire'a pesymizmem i nasuwa mu bluźniercze przypuszczenie. „Czem jest upadek? Jeżeli jest nim jedność stająca się dwoistością, w takim razie Bóg upadł? Innemi słowy, może stworzenie świata jest upadkiem Boga?“ powstaje w nim jątrzące i niepoważne przypuszczenie.

Obcy jest mu w tej chwili „fanatyzm pokory, który nawet nie pragnie pojąć religji“. Baudelaire całą siłą swego umysłu, całą tęsknotą serca usiłuje zgłębić tajemnice religji. Dąży do świadomego uświęcenia, w którem widzi jedyne znamię wielkości, godnej poety.

Korzy się więc przed głębią Boga. „Można, nie będąc głupcem, szukać w Bogu wspólnika i przyjaciela, których zawsze brak. Bóg — to wiekuisty powiernik w tej tragedji, której bohaterem jest każdy. Są może mordercy i lichwiarze, mówiący do Boga: „Panie, spraw, by mi się powiodło“! Ale modlitwa tych niegodziwców nie psuje godności i radości mej modlitwy“.

Poeta mówi, że „łatwiej jest kochać Boga, niż wierzyć weń“. Lecz kocha Go tem goręcej, im bardziej pragnie Go poznać i wierzyć weń.

Nieudolność ludzka naraża nas na upokorzenia. „Lecz moje upokorzenia — woła autor „Kwiatów zła“ — były łaską Boga“. Wszędzie dopatruje się działania Bożego planu i woli. Ta gorliwość nakłania go ku modlitwie, uznaje dynamiczną potęgę Sakramentów św. Karci Renana za to, że wydaje mu się śmieszną „wiarą we wszechmoc nawet materjalną modlitwy i wiary“.

Sam modli się gorliwie. W swym dzienniczku, który stanowi jakże wymowny dowód jego pracy wewnętrznej i doskonalenia się, notuje: „Każdego rana pomodlić się do Boga, zbiornika wszystkiej siły i wszystkiej sprawiedliwości“. Polecić Bogu, to znaczy samej sprawiedliwości powodzenie moich zamiarów. Wieczorem pomodlić się znowu, prosząc Boga o życie i siły dla matki i dla mnie“.

„Człowiek modlący się z wieczora, to kapitan rozstawiający szyldwachów. Może spać spokojnie“ **).

Baudelaire modli się więc: „Boże, daj mi siłę co dnia, niezwłocznie spełniać mą powinność i stać się w ten sposób bohaterem i świętym“.

Spełniać powinność, to znaczy pracować. Baudelaire przekłada pracę nad zabawę, którą uważa w gruncie rzeczy za nudną.

„Praca natychmiastowa nawet licha, więcej warta od rojenia. Z pracy niezbędnie rodzą się dobre obyczaje, trzeźwość i czystość, a co zatem idzie, zdrowie, bogactwo, genjusz stopniowy i postępowy, oraz miłosierdzie. Age quod agis“.

Bóg—„istota najbardziej spopularyzowana“ (?!) — jest życiem duszy Baudelaire'a. „Bóg, ponieważ jest najwyższym przyjacielem każdego człowieka, ponieważ jest on wspólnem, niewyczerpanem zbiorowiskiem miłości“.

Poetę ożywia pragnienie mistycznego związku z Bogiem. W mistycyźmie zresztą widzi pierwiastek, przejawiający się i w czasach pogańskich, a świadczący o prawdzie religji. „Zostać papieżem“ — było pragnieniem jego młodości. Udoskonalić się, wznieść się ku wyżynom świętości i bohaterstwa — staje się pragnieniem jego wieku dojrzałego.

Poznawszy trujący czar „Kwiatów zła“, poeta, w ślad za św. Augustynem, odrywa wzrok od ich ułudnych powabów i skierowuje go w niebo.

Cz.

**) Modlitwa — powiada — posiada magiczne działanie. Modlitwa jest jedną z wielkich sił dynamiki umysłowej. Jest w tem jakby obwód elektryczny. Różaniec jest pośrednikiem, jest to modlitwa uprzystępniona dla wszystkich.

Z · KSIĘGI · PIELGRZYMA

USZANOWANIE.

Jeden z miljonerów amerykańskich, Henryk Fleischmann, ubrał się pewnego razu w żebracze łachmany i usiadł na ławce w publicznym ogrodzie. Chciał się osobiście przekonać, czy ci sami ludzie, którzy takiem uszanowaniem darzą miljonera, potrafią uszanować w nim człowieka.

Najwięcej przechodniów mijało go obojętnie, a jeśli kto raczył spojrzeć w jego stronę, natychmiast odwracał oczy i szedł dalej. Nikt nie usiadł obok niego na tej samej ławce.

Dopiero po niejakim czasie zwróciła na niego uwagę jakaś stara, biedna kobiecina. Podeszła do mniemanego żebraka i ze współczuciem w głosie zapytała, co mu jest, bo drżał na całem ciele.

— Chory jestem i głodny — odparł zapytany.

Wówczas staruszka poszła pośpiesznie do pobliskiej piekarni i za ostatnie kilka centów, jakie posiadała, kupiła chleba, by nakarmić głodnego, jak sądziła i biedniejszego od siebie. Wtedy miljoner powiedział jej, kim był i sowicie ją wynagrodził tak, że odtąd nie potrzebowała się troszczyć o chleb powszedni.

Zdarzenie powyższe doskonale charakteryzuje świat dzisiejszy. Widzimy w nim wiele zdobyczy materjalnych, a równocześnie bardzo dużo strat duchowych. Co rok tysiące zarejestrowanych wynalazków i co rok jakaś etyczna wartość, wycofana z życia ludzi...

Jedną właśnie z pośród starych cnót, która dziś zdaje się zatracać prawo obywatelstwa w świecie, jest *uszanowanie.* Szczególniej młodsze pokolenie wychowuje się w atmosferze lekkomyślnego lekceważenia wszystkiego i wszystkich. Niczem dla nich przeszłość, niczem siwizna, niczem wszelkie świętości, przed jakiemi dotąd pochylano czoła, niczem prawda sama. Dla lada fałszu, wymyślonego wczoraj, porzuca się prawdy odwieczne ludzkości.

Uszanowanie polega na tem, że widzimy i uznajemy pewne wartości w danej rzeczy, względnie w danym człowieku. Kto w rzeczy wartościowej nie widzi żadnych wartości, jest ślepym i głupcem, kto zaś widzi i nie uznaje tych wartości — jest człowiekiem podłym. Tak więc zanik uszanowania w szerokich masach jest olbrzymim posiewem głupców i podłoty na łanach społeczeństwa. Przed takim stanem rzeczy muszą się bronić i ludzie i ludy.

W Księdze Pamiątkowej zakładów kórnickich pisała Marja Zamojska: „Wobec powszechnego folgowania sobie, a lekceważenia wszystkich i wszystkiego, jeden tylko może był środek zaradczy: — oparcie całej pracy wychowawczej na ścisłem i dokładnem pojęciu u s z a n o w a n i a, rozwijanem w sobie i w dziecku, które się wychowuje.

„Uszanowanie Boga i tego, co od Boga mamy; Kościoła i tego, co od Kościoła odbieramy, Ojczyzny i tego, co z rąk Ojczyzny otrzymujemy; bliźnich i tego, co przez nich nam przychodzi; siebie samych i tego, co w sobie zastajemy, jako boży dar...

„Gdyby się kto uwziął, wszędzie, w każdej okoliczności, w każdym stosunku pamiętać o tem, co się komu należy, i pielęgnować w sobie i w dziecku poczucie uszanowania, miałby klucz wychowania, przeciwtrutkę na teorje, dziś głoszone i zajmujący przedmiot do kontroli samego siebie, do rachunku sumienia.

„A więc uszanowanie Boga... Jego prawa do nas, Jego przykazań, woli, zastępców, Jego stworzeń, dzieł, Jego słowa, obecności...

„Uszanowanie Kościoła... Jego Głowy, władzy, Jego przykazań, nauki, rozporządzeń, Jego nabożeństw, środków poprawczych, uświęcających; uszanowanie osób, miejsc i rzeczy Bogu poświęconych...

„Uszanowanie Ojczyzny... Jej ziemi, mowy, cierpień, jej przeszłości, pamiątek, zwyczajów, jej praw do naszej służby i ofiar...

„Uszanowanie rodziców, nietylko ich władzy i woli, ale ich życzeń i zleceń, ich nawyknień...

„Uszanowanie ludzi... Ich dusz, ich zdolności, ich praw, ich sekretów i tajemnic, ich własności, ich czasu, ich dobrej sławy, ich słabości i wieku — dziecinnego, młodzieńczego, starczego...

„Uszanowanie siebie samego... Swego życia, zdrowia, swych zdolności, swych obowiązków... Uszanowanie słowa danego, uszanowanie darów bożych w sobie, uszanowanie przedewszystkiem duszy swej, jej wartości wiekuistych i bożego w niej panowania“...

Tak szerząc uszanowanie w duszach i sercach młodzieży, rodzina polska i szkoła winna zdać sobie sprawę ze źródeł, skąd płynie prąd lekkomyślności i lekceważenia.

Największą wartość dla człowieka, poza niebem i ziemią, przedstawiać zawsze będzie człowiek. Współczesny członek społeczeństwa ludzkiego patrzy na człowieka i nie widzi pełnej jego wartości.

Pełna i zasadnicza wartość jednostki ludzkiej — uczy wiara — przekracza doczesność, sięga w nieskończoność, idzie aż do tronu Stwórcy. I na Jego Sercu spoczywa, jako Jego wielkie dzieło, mało co mniejsze od aniołów. Kto ujrzy taką wielkość — musi ją uszanować, musi przed nią uchylić czoła.

Ale czasy nasze, zmęczone mnogością wynalazków techniki i mechaniki, którym oddają swój czas i swą całą duszę, nie mają chwili wolnej, żeby się zająć studjowaniem samych siebie. Patrzą na człowieka, jako na niewielką i kruchą bryłę żywej materji, subtelną maszynkę, która działać potrafi najwyżej do lat stu... I cóż tu zbytnio szanować? Przecież tych maszynek liczymy dwa miljardy! Zepsuje się jedna, mamy sto na jej miejsce. Podaż towaru olbrzymia, nic dziwnego, że cena spada...

I zanika uszanowanie — w duszach nieopartych o wiarę...

ZMYSŁY I UMYSŁY

Na tle ostatniej dyskusji wokół małżeństwa i jego nowej kodyfikacji, atakowano mię z różnych stron. M. in. niejaki p. Laskowski podniósł kwestję powstania ideału virginizmu (dziewictwa).

P. Laskowski ma pretensję nieomal do pierwszych chrześcijan z powodu ich surowego odnoszenia się do grzechu nieczystości oraz rzekomej niechęci do kobiety.

Publicysta ten zapomina, że chrześcijaństwo było tą religją, która możliwie najwyżej wysublimowała pojęcie macierzyństwa, stwarzając w końcu jako wyraz nieprzerwanej tradycji dogmat Niepokalanego Poczęcia oraz zabiegając, jak to ma miejsce obecnie, o ustalenie dogmatu Wniebowzięcia Najświętszej Marji Panny.

To wysokie sublimowanie pojęcia niewiasty oraz jej macierzyńskich zadań musiało się znaleźć w silnym kontraście z przyjętym w całym świecie pogańskim poglądem i stosunkiem do kobiet. Były one istotami niższemi. Wystarczy, nie sięgając daleko, przeczytać Stary Testament. Na sprawy związku płci wogóle patrzyli starożytni w bardzo swoisty sposób, który odbił się nawet na niektórych formach kultów religijnych. Kobieta była uznawana za istotę niższą. Nie pożądaj żony bliźniego twego, ani żadnej rzeczy — mówi dekalog.

Ślady tego osobliwego ujmowania spraw zmysłowych, oraz skutki stosunku starożytnych do kobiety zaciążyły niewątpliwie na psychice ludzi naszej ery, którzy byli właściwie więcej jeszcze poganami niż chrześcijanami.

To też w pierwszych wiekach Kościół z taką surowością karze grzech nieczystości. W miarę jednak jak podnosi się obyczajność, następuje złagodzenie kar kościelnych i wysubtelnienie nieco jednostronnego, ze względów czysto pedagogicznych, stosunku w tej kwestji.

Kobieta, o której mówi się początkowo, że jest „sidłami szatana", co do której niektórzy jakoby pytają: „Utinam femines animam possident"? — następnie jest już traktowana jako pełnoprawny i pełnowartościowy człowiek, owszem została dotknięta skutkami grzechu, ale wcale nie gorzej od mężczyzny, a więc jest zdolna do doskonalenia duchowego.

Początkowy misoginizm okazał się rzeczą przejściową. I jakkolwiek ustaliło się już na zawsze, że „mulier tacet in eclesia", to jednak niema mowy o jakiemś poniżaniu kobiety, postponowaniu jej za to, że przez naturę w szczególny sposób została uposażona na rodzicielkę rodzaju ludzkiego. Przeciwnie świętość tajemnicy Boskiego Macierzyństwa Marji Panny obejmuje swym urokiem cały rodzaj kobiecy. Virgine Madre „figlia del suo figlio" — oto kwintesencja tej szczególnej atmosfery, w której zrodził się ideał virginizmu.

Mój kontrowersista niepotrzebnie więc zadaje sobie trud wskazywania mi źródeł informacji w tej kwestji. Mógłbym go w niejednym oświecić.

Ideał virginizmu — jednak nie jest równoznaczny z aprobatą bezpłodności. Już w Starym Testamencie bezpłodność była poczytywana za wyraz, jeżeli nie przekleństwa, to przynajmniej braku błogosławieństwa Bożego. Nie będę tu przypominał rzeczy znanych.

Jakkolwiek właśnie dla przeciętnego umysłu, skorumpowanego dzisiejszym chaosem myśli, przypominanie rzeczy przeciętnych i znanych nie jest bez znaczenia, niezależnie od powoływania się na rzeczy ostateczne.

Nasz liberał myli się wreszcie, mówiąc, że katolicyzm jest religją wybitnie męską. Katolicyzm nie jest ani męską, ani żeńską, lecz religją boską.

Harmonizuje on w sobie oba te pierwiastki własne przez podkreślenie faktu, że Jezus, Syn Boży narodził się z niewiasty, że stał się w jej łonie człowiekiem.

A jeśli w pewnej epoce sprzyjali niektórzy tym lub owym tendencjom: a więc męskości czy żeńskości, to nie świadczy nic przeciw katolicyzmowi, mówi jedynie o przejawach danych czasów.

Kościół zaś, czerpiąc wzór z boskiego macierzyństwa Marji, od pierwszej chwili swego istnienia stoi na stanowisku świętości związków małżeńskich, przeciw swobodzie płciowej, przeciw wszelkiej rozwiązłości choćby upozorowanej względami religijnemi.

Dlatego to niema w jego szeregach miejsca dla Kowalskiego z jego pseudo „mistycznemi małżeństwami", które są jakimś dziwacznym refleksem po przez XX wieków dawnych kultów Astaroth etc. i t. zw. „świętej prostytucji".

Rzecz dziwna, że tego nie zauważył Boy, który bawiąc u Kowalskiego w Płocku, nic zdrożnego nie znalazł ze stanowiska swego „piekła kobiet".

Inna rzecz, że katolicyzm, w niczem nie odmawiając świętości małżeństwa, stawia przecież wysoko ideał virginizmu, jednak bez żadnych przymieszek pseudomistycyzmu à la Kowalski, który pod pozorami kultu prowadził poprostu harem.

Już starożytni otaczali czcią dziewice. Wystarczy tu przypomnieć westalki. Jeśli która się sprzeniewierzyła ślubom czystości, czekała ją oraz winowajcę śmierć. Lecz nadeszły czasy upadku. To też w Rzymie nawet i cnota westalek się nie ostawała. To był już koniec. Za schyłkowe i dekadenckie należy zatem uważać te wszelkie przejawy życia kulturalnego czy religijnego, które nawet pod osłoną ołtarzy chcą uprawiać prostytucję.

To też cesar Aureljusz zarzucał nieprzebierając w słowach, w jednej z mów w senacie, że rozwiązłość obywateli doprowadziła do upadku Rzymu, na co nie poradził nawet dekret protegujący urodzenia.

Kościół zawsze walczył z tego rodzaju niezdrowemi objawami, odrzucając od siebie prędzej czy później wszystko, co moralnie zgniłe.

Stąd taki nacisk na zachowanie ślubów czystości, bez żadnych nieuczciwych wybiegów.

Z drugiej zaś strony zwraca się uwagę na właściwe z uwagi na „bonum prolis", wykonywanie obowiązków małżeńskich.

Żadna mechaniczna prewencja, żadna kramarska eugenika, co to chce chodować ludzi niby prosięta, nic tu nie pomoże.

W Sparcie każde nieudolne fizycznie dziecko rzucano ze skały psom na pożarcie. Ale też Sparta choć wychodowała całe legjony żołdaków, zdrowych jak byki, nie zaznaczyła się niczem w kulturze, poza może jednym Likurgiem.

Natomiast Ateny w wieku Peryklesa wydają kilkunastu wybitnych, genjalnych wprost mężów.

A przecież taki Sokrates nie był ideałem piękności męskiej. Okazał się jednak nietylko dobrym żołnierzem, ale i znakomitym filozofem.

Okazuje się, że spartańskie kryterja eugeniczne są stosowne w oborze zarodowej, a nie w społeczeństwie ludzkiem.

Mój przeciwnik zarzuca mi, że powołuję się na Napoleona jako chwalcę macierzyństwa. A co zrobić z jego ślubami cywilnemi i rozwodami? Właśnie, właśnie. Napisałem przecież wyraźnie, że ze względów dynastycznych wprowadził rozwody. Szukał matki dla swego dziecka, wobec bezpłodności pierwszej żony. Inna rzecz, że środek był niedopuszczalny.

Wróćmy jednak jeszcze do kwestji zmysłów.

Antagonista mój twierdzi, że zmysły, ich apologizowanie i walka z niemi, to rzeczy stare jak świat.

Oczywiście. Jest tylko jedna rzecz nowa. Oto perwersja zmysłowa zyskała pewne nowe akcenty, wydobyte ze zdobyczy naszej cywilizacji i wiedzy.

Przecież sam p. Laskowski przy jakiejś okazji biadał, że, gdy w średniowieczu umartwiano ciało dla chwały nieba, dziś nasze modnisie umartwiają je, głodzą się, biorą masaże, etc., by uczynić je tem ponętniejszem dla chwały grzechu.

Można się było bowiem wyśmiewać z różnych dziwactw średniowiecznej ascetyki, w każdym bądź razie jej intencje były czyste. Dziś kuracja odchudzająca i walka o t. zw. linję nie ma nic wzniosłego na celu poza utrzymaniem się en vogue życia zmysłowego, w tem jego dziesiejszem sprostytuowanem pojmowaniu.

Nowoczesna medycyna umie już zwalczać choroby weneryczne, lecz wieniec Wenery wrósł na zbyt głęboko w moralne oblicze pewnych przedstawicieli naszej cywilizacji, by ślady jego dały się unicestwić.

Dziś czołowy pisarz obozu wojującej Wenery, Boy z całą emfazą ogłasza światu, że sam uważa się za „dziwkę”. A zasugestjonowane urokiem jego swady eunuchy intelektualne i moralne biją mu brawo i wołają dlań o wieniec laurowy.

Gdy zaś Boyowi trzeźwa krytyka zarzuca deprawowanie opinji przez chaotyczną propagandę t. zw. „świadomego macierzyństwa“ oraz wszystkich innych form zwyrodnienia seksualnego, to zarzuca się tej krytyce uprzedzenie.

Zdaniem eunuchów, Boy ma rację, wołając, niech tam „polskie gejsze” zarobią sobie na pończoszki, przez handel ciałem, walcząc o „interesy duchowe” homoseksualistów, którzy przecież takimi się urodzili...

Homoseksualizm! Boy potrafi znaleźć dlań legitymację u samego Sokratesa.

Boy, każdej kobiecie aplikuje „śmiszny domowy środek”, jeśli tylko chce uniknąć dziecka, byle nie zrezygnować z przyjemności.

Jaki jest na to środek — pewna żydówka zapytała się doktora.

— Szklaneczka wody dla ochłody.

— A kiedy?

— Zamiast — odparł dowcipny lekarz.

— Uj, to nie jest ta sama przyjemność. Panu doktorowi się myli.

I ja też miałem przez chwilę złudzenie, że Boy się myli, rozciągając na wszystkie kobiety przywilej bezpłodności. Przecież taki Russel w swem dziele „Małżeństwo i moralność” proponuje jednak utworzenie specjalnej grupy „kobiet płodnych”.

Myślałem więc, że Boy w interesie zachowania „gatunku ludzkiego” ma na myśli również stworzenie „klasy niewolnic płodności“. Okazało się jednak po jego ostatniem zaprzeczeniu, że Boy nie szczędzi żadnej kobiecie przywileju bezpłodności.

Zatem Boy ma mniej jeszcze rozsądku od bardzo już ekstrawaganckiego Russela.

Stanisław Brzozowski powiedział kiedyś, że sfera seksualna jest źródłem najpoważniejszych klęsk moralnych.

I miał rację, właśnie dlatego, że, jak to już raz ktoś trafnie powiedział, człowiek nie dzieli się na dobrą duszę i złe, grzeszne ciało. Ciało i dusza są substancjalnie złączone, jakkolwiek hierarchicznie nie są sobie równe.

Niemożliwem jest więc, byśmy szli w ślady manichejczyków i pobłażliwie patrzyli na wybryki zmysłowe ciała, jako autonomicznego czynnika. Jak się ciało wyszumi, to dusza będzie wolniejsza.

Tego rodzaju pobłażliwość musi się źle skończyć nietylko dla ciała. To też Freud ma rację, mówiąc o urazach psychicznych, spowodowanych przez nacisk sfery cielesnej. Błąd Freuda polega na tem, że jako przyczynę konstatowanych przez się komplikacyj widzi on jedynie niemożność wyżycia się płciowego.

To sprowadzanie wszystkiego do mianownika płciowości należy więc uznawać nie za zbawienną komplikację, lecz na naiwną symplifikację życia. Z pobłażaniem słuchamy, gdy zagorzały freudysta Rener, woła, że człowiek czuje się w świecie, jak dziecię w łonie matki, że świadomość jest pępkiem, wiążącym nas w jakiś mistyczny sposób z kosmiczną macicą.

Tego rodzaju porównania w bebechowym stylu Witkiewicza mogą nas zabawiać jako śmiałe i literacko udatne paradoksy, ale byłoby naiwnością budować na tem jakąś filozofję czy etykę.

Jeśli zaś już mówimy o etyce seksualnej, to nie dlatego, by ją wyodrębniać i uniezależniać. Etyka seksualna nie jest państwem samem w sobie, wiąże się z całością zasad etycznych, stanowi organicznie z niemi spojoną część.

W tym sensie możnaby mówić o „kosmicznem” znaczeniu seksualizmu w życiu ludzkiem. Ale w takim samym stopniu wszystko jest kosmiczne. Spożywanie chleba, przechadzka etc.

Chesterton opowiada o tem, jak to upływa ludzkie życie na prostych czynnościach, odruchowo wykonywanych bez świadomości ich znaczenia. Ot codzień chodzimy jakąś ulicą. Aż nagle pewnego dnia spostrzegamy, że coś stromo wspina się ona w górę. Spoglądamy w niebo. Czujemy się podstarzali, a może bardziej dojrzali, by dostrzec, że ta nasza zwykła ulica nie może nas odgrodzić od rzeczy ważniejszych, od nieba...

Można więc w podobny sposób spostrzec, że ta cała ograna „kabalistyka miłosna”, te wszystkie upojenia, rozczarowania, że to wszystko jest rzeczą akcydentalną, że jest ciasnym zaułkiem, z którego trzeba jakoś nietylko z honorem, ale i z rozsądkiem wybrnąć.

Dobrze jeżeli jeszcze jest czas, jeżeli starczy nam sił, by pójść na szersze tory.

Najczęściej jednak tyle już klamek zapadło, człowiek czuje się tak osaczonym w matni seksualizmu, miłość jest nietyle zawiedziona, ile uwiedziona, że wyjścia nie znaj-

(Dokończenie na str. 274).

TOPOLA

Wiatr jesienny jęczy za oknami i nisko nad ziemią pędzi zwały siwych, ciężkich chmur... Na ołowianem tle szyb, przeciętych ciemną ramą, jakby czarnym krzyżem, — w coraz bardziej gęstniejącym mroku, rysują się posępne sylwety drzew, gnących się w bezsilnej męce pod naporem wichru.

Chwilami stukają głucho, źle nazewnątrz umocowane okiennice i szyby drżą leciutko, jękliwie, jakby czemś przerażone.

Gdzieś w najciemniejszym kącie mego samotnego pokoju — przyczaił się zły smutek i swoją szarą snuje przędzę...

Opadły mi duszę wspomnienia.

Ten wieczór posępny, pełen jęku i szlochów wichru, coś mi dziwnie przypomina.

W taką samą noc pochmurną i wietrzną patrzyłam już kiedyś przed laty, długo nie mogąc zasnąć, w niezasłonięte wielkie okna starego pałacu. Tylko drzewa nie były tak jak dziś bezlistne, szumiały więc głucho przeciągłe, a wśród nich, wyniosła jak królowa, chwiała się dostojnie olbrzymia włoska topola.

Było to w pierwszym roku wielkiej wojny.

Mieszkaliśmy wówczas na krańcach miasta, w starym, nieco już opuszczonym, ale zawsze pełnym jakiegoś dostojeństwa i powagi pałacu, o szarych kamiennych, mchem tu i owdzie porosłych kolumnach i ciemnych wnękach, w których bielały bogiń posągi.

Pałac stał na wyniosłem wzgórzu, a z okien drugiego piętra, które prawie całe zajmowaliśmy i z kamiennego tarasu jadalni, oczy nasze szerokie objąć mogły widnokręgi. Tu i owdzie przed domem grupy starych drzew, lip, jesionów, kasztanów i topoli — obszerny ogród owocowy zdziczały i chwastami zarosły, pełen rozpadlin i wąwozów — tarasowato spadał ku łąkom i rzece.

Drzewa choć wielkie, ale rozrzucone dość rzadko i w pewnej od domu odległości, nie przesłaniały widoku na okolicę.

I wtedy w tę ponurą noc ze zgrozą patrzyłam na dalekie łuny płonących wiosek, któremi znaczyła swój szlak — ustępująca armja rosyjska.

Na przeciwległym wzgórzu za rzeką, jak wielka gwiazda, połyskiwało zielonkawe światełko. To ambulans polowy, który czuwał i czekał rozkazu, by posunąć się dalej w ślad za oddalającą się bitwą.

Było mi ciężko na duszy i jakoś straszno, choć wiedziałam, że wielka burza, która przez szereg tygodni szalała nad miastem — oddala się i ucisza.

Już oddawna zamilkły armaty i życie dokoła nas na normalne wróciło tory, a mnie się ciągle zdawało, iż wisi nademną jakaś groza, jakieś straszne niebezpieczeństwo...

Wreszcie, gdy zbladły łuny i zgasło upiorne zielonawe światło, przymknęłam ciężkie, zmęczone powieki. Przez chwilę snuły się jeszcze jakieś widziadła, wiatr jak włóczęga bezdomny płakał za oknami...

Zaczęłam drzemać.

Nagle wydało mi się, że słyszę jęk cichy i trzask, jakby otwieranych okien. Zielone, niesamowite światło zalało pokój i wraz szepty jakieś, szmery zaczęły się snuć dokoła mnie.

Tuż koło twarzy ujrzałam dwoje świecących upiornych oczów. Gdy chciałam w nie spojrzeć — odleciały jak ptaki spłoszone. I znowu uczułam czyjąś obecność.

Ktoś niewidzialny, wielki i straszny stanął koło mnie... Lecz chociaż odczuwałam jego obecność, napróżno siliłam się ujrzeć kształt jaki, a przecie to przedziwne, zielone światło tak jasną falą zalewało pokój...

— Ktoś ty? Czego chcesz? — pytam zdławionym szeptem.

I cichy szmer, jakby szelest liści lekkim poruszanych wiatrem:

— Jam jest duch topoli... strzeż się!

Stuk głuchy, szum odpływającej fali i wszystko znika...

Obudziłam się ze zduszonym okrzykiem, a serce tłukło się w piersiach jak oszalałe.

— Co za dziwny, niemądry sen, wzruszyłam z pewną irytacją ramionami. No, oczywiście, są to dość nawet zrozumiałe reminiscecje wrażeń przedsennych.

Gdy jednak wstałam rano i przypomniały mi się moje majaczenia, podeszłam do okna i zaczęłam z dziwnem, niemal zabobonnem uczuciem, przyglądać się rosnącej przed oknami naszej sypialni — olbrzymiej włoskiej topoli.

Lubiłam ją bardzo, gdyż wydawała mi się jedną z tych, które ongiś długim szeregiem strzegły mego rodzinnego domu na dalekich kresach wołyńskich...

Wiatr nie zmniejszył się wcale i targał zapamiętale konarami drzew, strząsając chmury więdniejących liści. I pomyślałam nagle, że ta topola stoi jednak zablisko domu, że gdyby runęła pod naporem wichru, to zdruzgotać by mogła nietylko dach, ale kto wie, może i ścianę naszej sypialni.

Gdy powtórzyłam swe obawy domownikom, wyśmiano mię i jaknajbardziej rozsądnie i kompetentnie wyjaśniono, że przedewszystkiem jest to jedynie optyczne złudzenie, jakoby topola stała tak blisko, że gdyby nawet miała runąć, co jest absurdem, bo drzewo mocne i zdrowe, — to przecież nie miałaby siły, aby złamać dach, a cóż dopiero rozwalić grube mury, zresztą dlaczego ma upaść właśnie w stronę domu, kiedy podobne wypadki zdarzają się bardzo rzadko i t. d. i t. d... dość, że umilkłam, czując się zupełnie pobitą.

Mimo to, z iście kobiecą logiką, nie pozwoliłam mojej maleńkiej córeczki na czas sprzątania dziecinnego pokoju przewieść z wózkiem do sypialni, jak to było codziennym zwyczajem.

— Proszę Krzysię przewieść do jadalni, wydałam rozkaz niani, która mocno była z tego niezadowolona, twierdząc, z zupełną słusznością, że w jadalnym pokoju, gdy państwo jedzą śniadanie, dziecko nie będzie miało spokoju do spania.

Kończyliśmy właśnie śniadanie, rozmawiając półgłosem, aby nie zbudzić maleństwa, gdy w tem silniejsza fala wichru uderzyła w okna i wraz straszliwy łoskot wstrząsnął staremi murami. Brzęk tłuczonych szyb gdzieś w dalszych pokojach, trzask i szum, jakby wdzierającej się masy wód...

Zerwaliśmy się przerażeni. Ktoś krzyknął:

— Jezus, Marja! znowu bomby... tak blisko...

— Nie, nie! to ona, to topola runęła! zawołałam i rzuciłam się przez dziecinny pokój ku drzwiom sypialni

ZE SZTUKI

LEON WYCZÓŁKOWSKI.

Gdy się spogląda na całość dorobku Wyczółkowskiego od jej akademickich pierwocin w rodzaju św. Kazimierza aż po ostatnie dzieła śmiałej w swej wirtuozerji technicznej grafiki — uderza w tem wszystkiem ogromna jednolitość, a także żywiołowość twórcza.

Artysta jest wierny wciąż swemu początkowemu założeniu poszukiwania efektów światłocienia. Zmienia temat, lub wraca do niego po kilkakroć (jak ołtarz wawelski z ukrzyżowanym, przed którym modliła się Jadwiga), stosuje coraz to inną technikę od soczystego impresjonizmu do jednobarwnej „czarnobiałej" litografji, zawsze jednak dokumentuje grę światła, zawsze podpatruje jego tajniki, trwając na kolanach wobec jego misterjum.

Jego intuicyjne ustosunkowanie do rzeczywistości, jej poetyczne, że się tak wyrażę, widzenie sprawia, że realizm mistrza jest głęboko wysublimowany; stąd nie narzuca się on przesadą ekspresjonizmu czy kubizmu, zaślepionego w formie, ani czystego impresjonizmu nie widzącego nic poza barwą.

Malarz umie powiązać oba elementy swych wrażeń kształt, barwę w syntetyczną, zrozumiałą formę artystyczną. To też jego realizm, jak w przedstawieniu krucyfiksu Kazimierza, pozwalający nieomal zmysłowo wyczuć materję przedmiotu, działa jednak wybitnie na naszą wyobraźnię, pobudza nas, lecz od strony „zmysłu abstrakcyjnego". Uczeń Matejki nie zmarnował jego wskazówek, lecz pomnożył je jeszcze własnym genjuszem.

Kwintesencję zrozumienia barwy i światła daje szereg pejzaży impresjonistycznych, ze słynną „Orką" na czele. Gdyby zapytać o przyczynę reakcji, jaki ten niewielki rozmiarami lecz dominujący treścią malarską obraz wywołał, to niewątpliwie okaże się nią bezpośredniość pozbawiona wszelkiej literackości w ujęciu zjawiska. Ta bezpośredniość, atakująca wrażliwość sensualistyczną widza przemawia z każdego dzieła, z każdego etapu pięćdziesięcioletniej pracy malarskiej Wyczóła. Skądkolwiek zaczerpnie on inwencji, jak np. w epoce hołdowania japońszczyźnie, cokolwiek przedstawia, zawsze jest sobą, artystą wrażliwym na światło, i barwę, pełnym temperamentu kolorystą, twórcą o śmiałych, nieomylnych rzutach linji. Wyczół widzi świat z całym jego pięknie kształtu i barwy, kocha go i daje temu świadectwo w genjalnych swych dziełach.

J. Cz.

(Dok. noweli „Topola").

Były zamknięte tylko na klamkę, ale że otwierały się do wewnątrz — jakiś straszliwy ciężar zatarasował je zupełnie. Dopiero wysiłkiem kilku silnych męskich ramion udało się go odepchnąć.

Uderzyła nas potężna fala wichru i chmura mokrych liści... Olbrzymie, potrzaskane konary, poplątane gałęzie zaścielały cały ogromny pokój.

Dwa wielkie, weneckie okna z ramami i futrynami, leżały potrzaskane na środku pokoju, w tem miejscu gdzie zwykle stawiano wózek Krzysi...

Wszędzie pełno potłuczonego szkła, pogruchotanych cegieł i szczątków mebli.

To samo, choć już w mniejszym trochę stopniu, było w sąsiadującym z sypialnią salonie.

Gdy zeszliśmy na dół — ujrzeliśmy grozą przejmujący widok. Potężna topola, ułamana tuż przy samej ziemi — całym swym ciężarem przebiwszy dach i osunąwszy się po ścianie, leżała na wielkim, kamiennym tarasie pierwszego piętra, wspartego na potężnej, granitowej kolumnadzie. Murowane słupy i ozdobne filarki leżały w gruzach... W strzępach, niby poszarpane koronki zwisały żelazne kraty i złocone sztachety balkonów. Długi szereg okien patrzył na nas pustemi oczodołami, świecąc krwawemi ranami wydartych cegieł...

O nasze pokoje zawadził tylko jeden z potężnych konarów topoli.

Nie chciała nam zrobić krzywdy...

Może czuła, że przez lata całe oczy moje z miłością patrzyły na nią, może dlatego, że dzieci moje, bawiąc się u jej podnóża nigdy nie kaleczyły kory, ani nie łamały młodych pędów ...więc i gdy zły wicher — los rzucić ją miał na gniazda tych co jej byli drodzy — przyszła do nich z ostrzeżeniem.

Przeszły lata...

Nie słyszę już groźnego poszumu mojej, potężnej szlachetnej topoli, ani wichrów wolnych grania ni śmiechu i szczebiotu moich dzieci.

Samotne, puste, ołowiane, słotne dnie i bezsenne noce.

Tylko w kącie smutek snuje coraz dłuższe pasma swej szarej przędzy, co zwolna oplata mi duszę...

Zofja Guzowska.

(Dokończenie art. „Zmysły i umysły").

duje, bo i skąd, nie stać go na to ani moralnie, ani fizycznie.

Następuje więc tragiczna katastrofa, nad którą biadał Brzozowski.

Tej tragiczności nie umniejsza w niczem nawet taki kabotynizm, jakim popisywał się zabójca tancerki Korczyńskiej. Ten kabotynizm ma niewątpliwie ciekawą legitymację literacką w osobie Płoszowskiego, co to załamał się ostatecznie nietyle „Bez dogmatu", ile „przez spódnicy".

Teodor Dreiser w swej „Tragedji amerykańskiej", Murnau w swym świetnym filmie „Wschód słońca" pokazali nam to zbrodnicze oblicze obsesji seksualnej, która łamie wszystkie zapory, druzgocze wszystko wokół siebie, nie wyłączając ludzkiego życia.

Ktoś zapewne cieszyłby się, że oto dokonało się wyzwolenie kompleksu seksualnego, stłumionego przez takie czy owakie czynniki.

Czy jednak można tak lekkomyślnie wyzwalać to, co jest niszczące? Czy można bezkarnie powtarzać eksperyment dra. Jekylla?

Ostatecznie wyniki takiego „wyzwolenia" są przerażające, aż wprost nudnie stereotypowe: serja uwiedzeń, jakiś rabunek, jakieś jedno lub drugie morderstwo, wreszcie samobójstwo lub obłęd na tle uwiądu mlecza.

Wyzwolony satyr rzeczywiście bardzo niezabawnie komplikuje życie i pod tym względem możemy się zgodzić z Claudelem, że o głęboką irytację przyprawiają czasami ryki takiego osła, jak Tristan.

J. Czarnecki.

NOWINY ZE ŚWIATA











WARSZAWA. Pomnik płk. Housa, przyjaciela i doradcy Wilsona, wystawiony w parku Paderewskiego.

LENINGRAD. Drugie śniadanie robotnika sowieckiego, zapijane wodą z polewaczki.

BERLIN. Nowa próba *pobicia rekordu siedzenia na słupie.*

AFRYKA CENTR. Słup totemowy u wejścia do wioski murzyńskiej.

TEPLICE. (Czechosłowacja). Wycieczka młodzieży akademickiej z całego świata m. in. są też delegaci polscy na tle urządzeń technicznych kąpieliska.

Z TEATRU

„U Mety” stanowi ostatni utwór najnowszej trylogji Rostworowskiego, której poprzedniemi ogniwami były „Niespodzianka” i „Przeprowadzka”.

To „u mety” jest właściwie tragicznym końcem rodziny chłopskiej, której monografję dał nam autor we wspomnianych dramatach.

Rostworowski w swej trylogji nakreślił obraz pewnego fatalizmu, który ciąży nad tą chłopską rodziną i którego nie udaje się przezwyciężyć bohaterowi Jankowi.

Osiągnął on coprawda szczyty karjery społecznej, został profesorem uniwersytetu, lecz mściwy los jak to bywa właśnie w greckiej tragedji, ściągnie go w przepaść Im większe było wyniesienie tym straszliwszy potem upadek.

Młody profesor postanowił się ożenić. Jest to małżeństwo trochę z miłości, a więcej może z wyrachowania. Jego przyszła żona jest córką wojennego paskarza, który, podobnie jak ongiś rodzice Janka, walczył za wszelką cenę per fas et nefas o szczęście swego dziecka, pojmowane dość wąsko jako zdobycie jak największej ilości pieniędzy.

Młody profesor i jego przyszły teść okazali się jednak ludźmi nie pozbawionymi skrupułów moralnych. Czynią sobie wzajemnie wyznania. Te rewelacje nie są im oczywiście w smak.

Lecz konflikt spowoduje właściwie kto inny. Jego sprawcą będzie Franek, murarz, który jak to pamiętamy z „Przeprowadzki” ożenił się z siostrą Janka, Zośką i przedtem odciął ze stryczka zdesperowanego młodzieńca. Zjawia się on jako nieproszony, bo niepożądany gość na weselu i kropi prawdę o Janku prosto w oczy wszystkim.

Narzeczona Janka jest oszołomiona przeszłością swego niedoszłego męża. Jej parwenjuszowski snobizm, troskliwie niestety wychodowany przez zaślepionego w niej ojca nie może znieść tej „kompromitacji”. Jej mąż ma za szwagra szofera czy murarza, a sam otarł się prawie o więzienie. Jego siostra była prawie dziewką. Bomba pęka. Małżeństwo zerwane. Janek oszalały ze wzruszenia wybiega, by z przypadku czy z premedytacji, znaleźć śmierć pod kołami auta.

Takie to jest „u mety”.

Rzecz kończy się przegraną. Bo też inaczej być nie mogło, tam gdzie zabrakło hamulców moralnych. Janek od początku do końca okazał się człowiekiem bez charakteru, zawsze w decydującym momencie zawodził.

Umiał się wspinać, nie umiał się utrzymać na zdobytym poziomie, do tego bowiem potrzeba już wyrobienia moralnego, którego nie miał.

Dość niewesołe w gruncie rzeczy budzą się refleksje po zapoznaniu się z trylogją Rostworowskiego, autor rozprawił się z parwenjuszostwem, wykazał jego nicość, ale rzucił przytem gruby cień na żywotność klasy chłopskiej, która w tem oświetleniu wydaje się być niezdolną do wzniesienia na szczyty kultury, do osiągnięcia mety prawdziwej dojrzałości intelektualnej i moralnej. Prawda, przedstawicielem chłopstwa jest także Franek, rezoner z łaski autora. Przez jego ręce spełnia się los, raz gdy odcina Janka ze stryczka, drugi raz, gdy go kompromituje.

Lecz Franek nie jest inteligentem”. Autor zaś tak napiął w swym dziele konflikty, że dążenie do zdobycia szarży „inteligenta” staje się punktem wyjścia zbrodni starych Szuwałów, szaleństwa matki Janka, jego niesklładnych borykań o zdobycie nauki, i wreszcie jego klęski, gdy zdawał się już u mety, gdy szarżę „inteligencką” chciał utrwalić karjerą bogatego ożenku.

Czyżby to dążenie do wzniesienia się na wyższy stopień kultury było „pomyłką” wg autora? Czy pomyłką są tylko środki użyte do celu?

Autor nie przeciwstawił fatalistycznemu „inteligentowi” bez kwalifikacyj moralnych, jakim jest Janek, inteligenta z kwalifikacjami. A przez to sztuka Rostworowskiego zamienia się w jednostronny akt oskarżenia przeciw inteligencji.

Jesteśmy, oczywiście, po stronie autora tam, gdzie piętnuje różne fałsze „inteligenckie”, cały snobizm klasowy, całą szopkę pseudokultury, pojmowanej jako „bajeczna karjera”... Musimy bronić jednak prawa intelektu i jego przedstawicieli, jako wartościowego czynnika w życiu społecznem, którego nie zdołają obniżyć Szuwałowie, pchający się twardemi łokciami na te pozycje, do których nie dorośli moralnie.

Podobnie jak u Rostworowskiego osią sztuki autora sowieckiego Afinogenowa p. t. „Strach” jest pewnego rodzaju niedowierzanie pod adresem inteligencji. Sowiety patrzą na ręce swych inteligentów, bo to niebezpieczne ptaszki, nigdy nie wiadomo co „taki wystroi”. Prof. Borodin, przedstawiciel dawnego reżymu, dziś służący Sowietom, wygłasza oryginalną teorję o strachu, jako spoidle społecznem. Sztuka jest potwierdzeniem tej tezy. Autor tak jednak rozstawił światła i cienie, że sens sztuki wskazuje na wartość niezależności pracy umysłowej, na jej dążność do wyłamania się z pod terroru ludzkiego stada. Poniżej tego herosa twórczego intelektu, jakim jest Borodin, uwija się całe pstre stadko pseudointeligentów, ludzi bez charakterów, których motorem działania jest rzeczywiście strach, stanowiący w Sowietach jak wiadomo narzędzie reżymu.

Lecz ten strach działa tylko jakby powiedział Shaw na ich „niższe ośrodki”. Prowadzi ich do ślepej, zwierzęcej uległości, nie przekształca ich dusz, zabagnia je tylko, opanowuje conajwyżej odruchy ich kończyn Są uległymi niewolnikami, zatracili w sobie godność ludzką, a więc jedną z zasadniczych cech, obok sumienia, każdego rzetelnie inteligentnego człowieka. Sztuka Afinogenowa jest pod tym względem rewelacyjną.

J. Cz.

NOWE WYNALAZKI W DZIEDZINIE OBRONY PRZECIWGAZOWEJ

Dowodem wytężonej pracy w przygotowaniu środków obrony przeciwgazowej w całej Europie są wynalazki z tej dziedziny co jakiś czas zgłaszane do urzędów patentowych.

W związku z wyrobem udoskonalonych materjałów chłonnych, niemiecki koncern I. G Farbenindustrie Akt. Ges Frankfurt a/M, wniósł o patent na udoskonalenie porowatego, aktywnego kwasu krzemowego.

W Polsce opatentowano wynalazek Romualda Nowickiego, przyrząd do wykrywania w powietrzu w mieszaninach gazowych czadu czyli tlenku węgla. Wynalazek ten jest bardzo doniosły choćby z tego punktu widzenia, że czad. gaz niezmiernie trujący, jest pozbawiony zupełnie barwy i zapachu.

Dr Draeger z Lubeki opatentował wynalazek tkaniny nieprzenikliwej dla gazów bojowych. Tkanina ta jest przesycona nieorganicznym aktywnym żelem. W tej samej dziedzinie opatentował swój wynalazek również z Lubeki G. Stampe, przesycający tkaniny przeciwgazowe za pomocą żelu kremowego, poczem tkanina jest suszona w atmosferze azotu lub w próżni

Wynalazek ten wobec niewątpliwego zastosowania w przyszłej wojnie środków chemicznych żrąco parzących, atakujących człowieka na wewnątrz i na zewnątrz wywołujących bolesne oparzenia i trudno gojące się wrzody, ma niezmiernie wielkie i doniosłe znaczenie. Dotychczas bowiem przed działaniem tych trucizn człowiek był zabezpieczony na wewnątrz przez stosowanie maski przeciwgazowej, powierzchnia skóry zaś zabezpieczoną nie była w odzieży zwykłej. Dla specjalnych drużyn ratowniczych istniały nieprzenikliwe ubrania, w których praca i poruszanie się jest męką, bo ubranie to jest kompletnie szczelne i nieprzewiewne.

Jak więc z tych kilku przytoczonych wynalazków wynika, myśl o udoskonaleniu obrony przeciwgazowej zaprząta wiele umysłów, które szukają rozwiązania tego zagadnienia, będącego zmorą ludzkości. Jeszcze jeden stąd można wyprowadzić wniosek, że widocznie nigdzie na świecie ludzie nie łudzą się mirażem genewskich zakazów o stosowanie środków chemicznych w wojnie przyszłości.

WALKA Z HAŃBĄ XX WIEKU

(Dokończenie).

Walka z tą plagą, która dopiero tak późno, bo właściwie od kilku dziesiątków lat, została podjęta w energiczny sposób, jest już obecnie ujęta w pewien system. Dotychczasowe wyniki świadczą o stałych postępach tej akcji. Walka ta zasadza się na czworakiego rodzaju akcji, a mianowicie: 1) walce z sutenerstwem, 2) opiece nad samotnie podróżującemi, względnie przebywającemi zagranicą kobietami i dziećmi, 3) biologicznem wychowaniu młodzieży, oraz 4) na próbach repatrjacji prostytutek. Z temi zasadniczemi problemami łączy się cały szereg zbliżonych, względnie związanych z nimi, jak kontrola nad angażowaniem zagranicę artystek, zapobieganie przewozowi „żywego towaru" zapomocą odpowiednich przepisów paszportowych, zaprowadzenie jednolitego ustawodawstwa w tej materji, wreszcie użycie filmu jako środka propagandowego dla walki z handlem „żywym towarem" i t. d.

Akcja przeciwko sutenerom i stręczycielom jest jednym z najważniejszych czynników w walce z prostytucją i handlem „żywym towarem". Należy zaznaczyć, iż natrafia ona na poważne trudności wobec braku w kodeksach karnych państw, zarówno europejskich, jak i amerykańskich, nie mówiąc już wcale o innych, specjalnych przepisów, na zasadzie których sutenerzy byliby bezpośrednio pociągani do odpowiedzialności karnej za swe praktyki. Poszczególne ustawodawstwa posiadają przeważnie bardzo mgliste przepisy w tym względzie, które utrudniają tępienie sutenerstwa. Np. angielskie prawo zawiera przepis, opiewający, iż mężczyzna, który świadomie żyje całkowicie lub częściowo z dochodów, osiągniętych z zarobków ze źródeł niemoralnych, winien wrazie wystąpienia przeciwko niemu władzy policyjnej z powodu podejrzenia o kierowanie, kontrolowanie, lub wpływanie na prostytucję, dowieść sądowi, że niekorzysta świadomie z zarobków ze źródeł niemoralnych. — (Bardzo problematyczny skutek takiego przepisu prawnego!).

Prawo francuskie np. nadmienia o osobach, które... 1) pomagają, 2) pomagają z zamiarem korzyści, 3) pomagają lub chronią osobę zaczepiającą publicznie w charakterze prostytutki. Każdy prawnik, stykający się z temi przepisami, a szczególnie eksperci w Międzynarodowem biurze walki z handlem kobietami i dziećmi, wiedzą o tem dobrze, jak trudno jest ustalić istnienie powyższych trzech czynności. Władze sądowe znajdują się więc tutaj w nader trudnem położeniu.

Bardzo na dobie wydaje się przeto projekt austrjackiej ligi dla zwalczania handlu dziewczętami i dziećmi, przedstawiony na międzynarodowym kongresie zwalczania handlu kobietami i dziećmi w Warszawie w r. 1930. Projekt ten przewiduje zaprowadzenie w kodeksach karnych specjalnego przestępstwa pod nazwą „Gelegenheitsmacherei", za które możnaby stręczycieli i sutenerów pociągać bezpośrednio do karnej odpowiedzialności sądowej. W tym też duchu została na wymienionym powyżej kongresie powzięta rezolucja, w sprawie karalności sądowej za sutenerstwo i stręczycielstwo. Rezolucja ta zawiera również dokładną definicję tych zawodów względnie praktyk, a karalność za nie powinna na zasadzie tej rezolucji istnieć również za przestępstwa tego rodzaju, popełnione zagranicą.

Jeśli chodzi o opiekę nad podróżującemi samotnie niewiastami i dziećmi, to akcja ta bardziej znana jest szerszemu ogółowi, a więc istnieją misje dworcowe i t. d. Odnośna rezolucja, powzięta na warszawskim kongresie międzynarodowym przewiduje, o ile chodzi o ruch emigracyjny, zasadę nierozdzielania rodziny, oraz zaleca ściślejsze przestrzeganie uchwał i propozycyj kongresu w Gratzu z 1924 r., dotyczących naznaczania specjalnych pracowników społecznych w portach, na stacjach kolejowych, granicznych punktach, w pociągach dalekobieżnych, celem zabezpieczenia podróżujących samotnie kobiet.

Biologiczne wychowywanie młodzieży, zalecane przez kongresy, polega na badaniu metod wychowawczych, przy pomocy których można przyjść osobom młodocianym jak najwydatniej z pomocą, chroniąc je przed pokusami, wobec których w dziedzinie seksualnej staną w życiu.

Wreszcie, jeśli chodzi o sprawę repatrjacji prostytutek, to wpływały powtórnie takie wnioski na kongresach miedzynarodowych, toż samo na warszawskim. Na przedostatnim kongresie międzynarodowym, odbytym w Londynie, zaprotestował delegat polski przeciwko powzięciu rezolucji, przewidującej repatrjację prostytutek, o ileby ona miała pociągnąć za sobą obowiązek reglamentacji prostytucji. W kwestji tej, nastręczającej poważne trudności, zarówno pod względem moralnym, jak i materjalnym, nie została też dotychczas powzięta żadna rezolucja, którąby w sensie pozytywnym przesądzała repatrjację prostytutek.

Aczkolwiek dotychczasowe wyniki walki z handlem „żywym towarem" dalekie są jeszcze od kwalifikacji „zadowalający", tem niemniej należy stwierdzić, że ta ze wszechmiar dobra i pożyteczna akcja czyni stałe postępy. Przytoczymy tutaj słowa, wypowiedziane przez przewodniczącego genewskiego kongresu w tej dziedzinie, odbytego w 1927 r., delegata Szwajcarji p. Ninck'a, który wyraził, iż jeśli jeszcze 25 lat temu nikt nie mógł się odważyć w Szwajcarji na wystąpienie przeciwko działalności stręczycieli, którzy uchodzili za osoby „czcigodne i nietykalne", to można obecnie raczej z optymizmem patrzeć na przyszłość tej akcji.

Najważniejszą rzeczą jest, jeśli chodzi o działalność prasową w tym względzie, ażeby uświadamiać społeczeństwo w tym kierunku, a gdy ono właściwie zrozumie istotę i rozmiary tej hańby 20-go w., to znajdą się ludzie i środki dla skutecznego zwalczania tego nowoczesnego niewolnictwa.

Rewera.



Z uroczystości na Jasnej Górze. Nabożeństwo przed ołtarzem na Szczycie. (Na lewo u góry fotogr. P. Prezydenta — u dołu na prawo Ks. Biskupa Kubiny).

Z PIŚMIENNICTWA

ZOFJA GUZOWSKA. Przez dolinę cieni. 1932, str. 103.

Jest to zbiór nowel i impresji literackich. Autorka przed wojną ogłosiła również szereg nowel p. t. „Nim słońce wzejdzie". Słowem jej twórczość zamyka się w obrębie jakichś dwudziestu lat. Jest to okres czasu pozwalający na rozwinięcie zasadniczych cech talentu pisarskiego i dający przez to podstawę do oceny.

Charakterystyczną cechą twórczości Zofji Guzowskiej jest dążenie do pięknej formy literackiej. Elementy stylistyczne przeważają we wszystkich jej impresjach, jak znana naszym czytelnikom „Był słodki i cichy". To też z tem dążeniem do wytwornej i zaokrąglonej formy stylistycznej ciekawie i dziwnie kontrastują niektóre nowele z cyklu „Wojna". Cechuje je kronikarska oschłość stylu, jakby autorka w samym patosie opisanych wydarzeń widziała dostateczny czynnik estetycznego wzruszenia. Widać, że są to relacje rzeczy bezpośrednio i głęboko przeżytych, których groza jakoś nie pasuje w umyśle autorki do literackiej szminki. Inna rzecz, czy jednak pewne przefiltrowanie tej rzeczywistej rzeczywistości przez pryzmat literackiej wizji nie wzmogłoby walorów artystycznych poszczególnych utworów? W obecnej swej postaci zbliżają się one do modnego dziś rodzaju reportażu. Tu dla mnie wyrasta kwestja sporna, kwestja zaniedbanej dziś architektoniki utworów literackich. Lecz o tem możnaby długo dyskutować.

W twórczości Zofji Guzowskiej uderza mię inna jeszcze rzecz: kwestja tematyczna, nie pozostająca przytem bez wpływu na formę nowelek. Mam na myśli duże upodobanie autorki do tematów „z za świata", pełnych niesamowitości, grozy mistycznej, wizji, przeczuć, snów proroczych i t. p. Tego pokroju jest drukowana obecnie „Topola" zamieszczona w „R. P.". Oczywiście nie odrzucam àlimine tych zagadnień, ani ich aury duchowej. Wysuwa mi się natomiast sprawa pewnej proporcji elementów anegdotycznych i formalnych w utworach nasyconych pierwiastkiem „zaświatowym". Autorka daje się zwykle porwać rozpędowi lirycznemu, który zaciera wszelki realniejszy kontur przedstawionego faktu. Może to wytrącić z równowagi, ale nie zawsze z powodów zamierzonych przez autora. Zastrzeżenia te są o tyle niepotrzebne, że dotyczą pierwszych utworów pani Guzowskiej. Dzisiaj jest ona więcej zwolenniczką realizmu. Przeżyty szmat życia wojennego, koszmarna jej groza zrobiły swoje; nauczyły nas wszystkich zresztą pewnej oschłości. Nie dziwmy się więc autorce. Oddała nam zresztą w swem dziele cząstkę swej duszy z najlepszą wolą twórczą.

J. Cz.

NA FALACH CZASU

Od lat dziesięciu toczy się we Francji walka i dyskusja na temat praw wyborczych dla kobiet. Ostatnio zajął się tą sprawą senat. Po długich i zawiłych debatach zdecydował się wreszcie senat na przyznanie kobietom praw wyborczych, ale tylko w wyborach do ciał komunalnych. I na tem koniec. Nic nie pomogły argumenty „feministów", wskazujących na to, że kraj tak postępowy, jak Francja, jest jedynym bodaj w Europie (poza Bałkanami), gdzie kobieta nie korzysta z równych praw politycznych obok mężczyzny. Aby zrozumieć stanowisko senatu, trzeba wyeliminować tutaj pojęcie „konserwatyzmu" — nie o to chodzi bowiem. W rzędzie przeciwników reformy wyborczej znajdują się nietylko prawicowcy w senacie, ale — i przedewszystkiem — radykali, najliczniejsza frakcja radykalna — radykali grupy Herriot'a 150 głosów tej frakcji przy 302 członkach senatu wogóle, padło prawie w całości na niekorzyść równouprawnienia kobiet. Ciekawe są argumenty, jakie wpłynęły decydująco na stanowisko większości senackiej. Otóż — jak twierdzą przeciwnicy emancypacji politycznej Francuzek — kobiety we Francji są żywiołem, ulegającym wpływom klerykalizmu, a zatem przedstawiają one, jako wyborca, niebezpieczeństwo dla istnienia republiki takiej, jaka istnieje we Francji. Chodzi tu o kobiety na prowincji, nie w wielkich miastach, ani w Paryżu.

„Republika zostałaby zagrożona w swym bycie — mówił senator Tissier (radykał) — gdyby kobietom przyznano prawa wyborcze. Nie narażajmy na ryzyko doświadczeń historji naszego kraju. Jeśli kobiety dostaną do rąk kartki wyborcze, jutro znikną z tych ław przedstawiciele parlamentaryzmu republikańskiego".

Taką opinję wydał na serjo sędziwy senator. (Rząd nie wtrąca się do tej sprawy, gdyż Herriot nie chce narazić się senatowi, z którego ręki przewrócił się Tardieu, usilując pójść na rękę katolikom, wchodzącym do swej grupy). Jak widzimy, obawa przed katolicyzmem i jego wpływami wśród mas jest wciąż żywa w „republikańskiej Francji".



Dom Schillera w Karlsbadzie.

Edward Herriot obchodził w Lozannie swoje sześćdziesięciolecie. Dziennikarze międzynarodowi dowiedzieli się z wielkiem zdumieniem, iż w „dzisiejszym dniu ukończył Herriot 60 lat". Herriot robi bowiem nietylko w usposobieniu, ale i w wyglądzie wrażenie człowieka znacznie młodszego. Jest on namiętnym palaczem fajki, skąd jego rozpowszechnione przezwisko w Paryżu. Herriot — la Pipe. Fajka jest ponadto symbolem pokoju. Dziennikarze międzynarodowi podarowali mu zatem piękną bursztynową fajkę, za którą dziękował z wielkiem wzruszeniem. Mówiono jednak w Lozannie nietylko o pokoju, ale — także i to napewno więcej o pieniądzach. Uwzględniając tę okoliczność, przesłał Herriotowi na jego urodziny pewien anonimowy Niemiec w podarunku pięć miljardów marek. Był to coprawda tylko pięcio-miljardowy banknot niemiecki z czasów inflacji. Herriot ma dobry humor i uśmiał się serdecznie z niemieckiego dowcipu.

250 miljardów tytułem reparacyj miały zapłacić Niemcy na mocy traktatu wersalskiego. Sumę tę zmniejszono w r. 1921 na podstawie protokółu londyńskiego do 132 miljardów. W roku 1929 plan Younga zredukował ją do 32 miljardów. Aż wreszcie w ubiegłym miesiącu Lozanna przekreśliła wszystkie dawniejsze umowy i pochowała z honorami cały problem reparacyjny kosztem 3 miljardów, na które Rzesza wyda specjalne bony dłużnicze. Ten ryczałt, jaki uchwalono po długotrwałych i namiętnych przetargach, poprzedzony zostanie 3-letnim okresem moratoryjnym. Dopiero po ostatecznem ratyfikowaniu układu lozańskiego 5-procentowe bony te, emitowane nie niżej 90, wypuszczone zostaną na rynek przez Bank Rozrachunków Międzynarodowych. W ciągu następnych lat dwunastu odbywać się ma plasowanie tych obligacyj, a gdyby w ciągu tego czasu część ich nie znalazła odbiorców, ulegnie ona poprostu zniszczeniu. Tak oto w kilku słowach wyraża się krótkotrwały, acz burzliwy żywot

reparacyj niemieckich. Wypada przytem zaznaczyć, że ze względu na kurs emisyjny (90), wierzyciele w rzeczywistości otrzymają nie trzy, a właściwie 2,7 miljardów, o ile nie uda się bonów zbyć po kursie wyższym.

Ponieważ obligacje te są 5-procentowe, amortyzowane w wysokości 1% od dnia ich emisji, roczna rata, jaką Rzesza obowiązana będzie spłacać, wyniesie 180 miljonów marek. W ciągu 37-letniego okresu suma ta ulegać będzie jednak postępowemu zmniejszaniu. Należy również przypomnieć, że w ratach tych uwzględnione są zaległości tych spłat, z jakich Niemcy na skutek moratorjum Hoovera zostały zwolnione, a które określają się cyfrą 1,9 miljardów. W ten sposób suma trzech miljardów, jaka na mocy uchwały lozańskiej przypada Niemcom do spłacenia, przewyższa zaledwie o zgórą miljard te zaległości.

Pozostaje jeszcze do spłaty oprocentowanie pożyczki Dawesa i Younga. Pierwsze wynosi około 85 miljonów, drugie 55 miljonów mk. Oprócz tego pokrywane być muszą w najbliższych latach spłaty markowe na podstawie układu z Belgją (26 milj. mk), spłaty na rzecz instytucyj amerykańskich (40,8 milj. mk.) i wreszcie koszty wynikłe z utrzymania amerykańskich oddziałów okupacyjnych (12,6 milj. mk.). Razem rocznie czyni to 400 miljonów mk., które Niemcy muszą wypłacić zagranicy.

W związku z zakończeniem konferencji lozańskiej należy z polskiego punktu widzenia zwrócić uwagę na następujące momenty: Z tytułu odszkodowań na podstawie planu Younga przypada Polsce jedynie 37 rat rocznych po 500 tysięcy marek. Natomiast w sprawie długów wojennych przedłużenie moratorjum ma dla Polski duże znaczenie, gdyż zawiesza, o ile chodzi o Polskę, spłaty rat rocznych w wysokości około 60 miljonów złotych rocznie. Należy przytem pamiętać, że wejście w życie układu lozańskiego uzależnione jest na podstawie Gentleman Agreement pomiędzy głównymi wierzycielami Niemiec od dojścia do skutku uniwersalnego układu, regulującego na nowych podstawach kwestję wszystkich długów wojennych. Polska w sprawie odroczenia długów reljefowych znalazła również poparcie. Wysiłki delegacji polskiej doprowadziły do utworzenia specjalnej komisji do spraw rekonstrukcji gospodarczej Europy środkowej i wschodniej. Dla komisji tej ustalony został przez konferencję program uwzględniający postulaty polskie. Wyodrębnienie spraw Europy środkowo-wschodniej z ogólnej rekonstrukcji gospodarczej świata, ma poważne znaczenie, gdyż pozwoli na możliwie szybkie zajęcie się zagadnieniami tej części Europy, co było jednym z naczelnych postulatów memorandum polskiego.

Grumbach (alzacki żyd) jest jedną z najsympatyczniejszych i najpopularniejszych postaci francuskiego życia politycznego. Przed wojną był socjalistycznym posłem alzackim z Reichstagu i dawał się tam Niemcom dotkliwie we znaki. Po wojnie stał się wybitnym członkiem francuskiej partji socjalistycznej, działając głównie jako publicysta i, przez długie lata, jako poseł do parlamentu i członek parlamentarnej komisji dla spraw zagranicznych. Grumbach należał do najintymniejszych przyjaciół Brianda, był jego stałym doradcą dla spraw francusko-niemieckich i spełniał rolę półoficjalnego pośrednika między delegacjami Francji i Niemiec na wszystkich powojennych konferencjach międzynarodowych. W ostatnich wyborach stracił chwilowo swój mandat do parlamentu, ale spełnia nadal — tem swobodniej — u boku Herriota rolę, jaką pełnił dawniej u boku Brianda.

W ostatniej fazie konferencji wysunęli Niemcy wzamian za gotowość zapłacenia ryczałtowej sumy likwidacyjnej na konto reparacyj dwa żądania polityczne: 1) zniesienie art. 231 traktatu wersalskiego, przypisującego Niemcom odpowiedzialność za wojnę; 2) przyznanie Niemcom równouprawnienia w dziedzinie zbrojeń. Von Papen żywił zdaje się nadzieję, że francuscy socjaliści i lewe skrzydło radykalistów społecznych wywrze presję na Herriota w kierunku spełnienia tych żądań niemieckich, które lewica francuska już od dosyć dawna popiera. Ale ten zbyt wyrafinowany rachunek zrobił von Papen — jak to mówią Niemcy — bez gospodarza. Nagle zjawił się bowiem w Lozannie Grumbach, niski, czarny, łysy i ruchliwy, poszeptał z Herriotem i udał się potem do hotelu Savoy, siedziby delegacji niemieckiej. Złapał tam za guzik od surduta jednego z pp. Geheimratów i powiedział mu na ucho: „Mówię z panem jako człowiek prywatny. Skrajna lewica francuska nie składa się bynajmniej z idjotów. Nam się o tem całkiem nie śni, by polityczne żądania p. von Papena popierać. Stoimy w sprawie ich odrzucenia stuprocentowo za Herriotem. Socjalistom i demokratom niemieckim zrobilibyśmy prawdopodobnie te ustępstwa, ale rządowi p. von Papena? Tej marjonetki Hitlera? I to trzy tygodnie przed wyborami? By złożyć za pośrednictwem von Papena tak wspaniały podarunek przedwyborczy waszemu Adolfowi? Chyba nas nie uważacie za warjatów z mokrą głową. Zechciej pan to łaskawie powiedzieć p. von Papenowi".

Powiedziawszy swoje, obrócił się Grumbach na pięcie i opuścił Lozannę. P. von Papen spuścił nos na kwintę. Manewr się nie udał, p Hitler będzie zły...

Umysły i serca całej Polski poruszyły uroczystości jasnogórskie. 400.000 pielgrzymów zgromadzonych u stóp Matki Bożej Częstochowskiej świadczy wymownie o wciąż żywym kulcie dla Królowej Korony Polskiej. Naród polski nie zapomniał o swej Orędowniczce niebieskiej, która czuwała nad jego losami w dobie najcięższych doświadczeń dziejowych. Dziś w epoce odzyskanej wolności dobrze się stało, że Polska katolicka pośpieszyła z hołdem swej Możnej Protektorce i Opiekunce.

HUMOR

Pod kościołem.

— Litościwa osobo, choć grosik...

— Taki młody i zdrowy człowiek, a żebrze?

— A cóż to osoba by chciała, żebym za grosz zaraz cholery albo tyfusu dostał?

Mole.

Beniek zapytuje ojca:

— Tatusiu, czem się żywią mole?

— Jedzą palta, ubrania i tem się żywią.

Podwyżka.

— Znowu zbiłaś półmisek! W ten sposób cała twoja pensja miesięczna nie wystarczy na potrącenia za szkody!

— No to niech mi pani podwyższy...

Nikt nie pozna.

Słomiany wdowiec (do siebie): — No, dzięki Bogu, stara już pojechała. Teraz tylko trzeba dobrze schować ślubną obrączkę, zacerować dziury na łokciu i przyszyć sobie urwany guzik do marynarki, a djabeł nie pozna, że jestem żonaty

Terminator żebracki.

Ubogi, prowadzący chłopca za rękę, prosi o jałmużnę. Starsza pani daje żebrakowi parę groszy i mówi

— Źle robicie dziadku, że synka uczycie żebrać.

— To nie mój syn, dobra paniusiu, to mój terminator.

Dział Kobiecy

DLA DUSZY.

Ciężko jest pozbywać się nałogów, lecz ciężej jeszcze przeciw własnej iść woli.

Lecz jeśli nie pokonasz się w małych i lekkich rzeczach, jakże w trudniejszych zwyciężysz? Oprzyj się zaraz skłonności swojej i odwykaj od złego nałogu, aby cię potem nieznacznie nie wprowadził w gorsze zawikłanie.

O! gdybyś zważył, ilebyś sobie pokoju, a drugim radości mógł przynieść, pilnie czuwając nad sobą, sądzę, że byłbyś nierówno gorliwszym w doskonaleniu ducha.

Tomasz à Kempis

O naśladowaniu Jezusa Chrystusa.

PALĄCE ZAGADNIENIE

Zawsze trudne do rozwiązania zagadnienie: na jaką drogę pracy kierować młodzież po ukończeniu szkoły ogólnokształcącej, w roku bieżącym szczególnie trudne jest i dla rodziców i dla młodzieży. Wszędzie — przepełnienie kandydatów i kandydatek na posady, wszędzie redukcje, wszędzie — zmniejszenie zarobków.

Oczywiście, mowy niema o tem, by młodzież, mającą wybitne zamiłowania i uzdolnienia, wstrzymywać od kształcenia się w obranym przez nią zawodzie, dlatego, że obecnie praca w nim nie przedstawia się różowo co do zarobków. Człowiek zdolny i oddany pracy, którą wybrał z zamiłowania, zawsze — prędzej czy później—zdobędzie powodzenie, chyba, że przeszkodzą mu w tem jakieś jego osobiste wady i nałogi, lub, że przy całych swych zdolnościach jest zdecydowanym niedołęgą.

Nie mówimy więc o młodzieży wybitnie zdolnej i o określonych zamiłowaniach. Chodzi o tę większość, która — kończąc szkołę — nie wie, co ze sobą w życiu począć.

Przy wyborze zawodu dla tej grupy trzeba bardzo liczyć się z rynkiem pracy. Statystyka Kas Chorych stwierdza, że wśród pracownic umysłowych najwięcej bezrobotnych jest wśród nauczycielek, następnie biuralistek (29 proc.), następnie — wśród pracownic handlowych (25,2 proc.). To już wskazówka jasna.

Z drugiej strony trzeba wciąż powtarzać, że powinno się dążyć do tego, by dziewczętom „dawać fach w rękę" taki, który nie oderwie ich od domu, nie rzuci w bezduszne tryby pracy biurowej czy fabrycznej, zjadającej ich zdrowie, zabijającej radość życia i wreszcie wysuszającej inicjatywę, przedsiębiorczość, odwagę w wiecznej zależności od mniej lub więcej przykrych zwierzchników.

Z tych względów pragnę zwrócić uwagę Czytelników zainteresowanych w tej mierze na nasze szkoły zawodowe, takie, jak naprz. warszawskie szkoły rękodzielnicze miejskie, gdzie są działy: koronkarstwa, hafciarstwa, kilimkarstwa, dywaniarstwa, tkactwa, gorseciarstwa, nie mówiąc już o bieliźniarstwie i krawieczyźnie. Nie brak introligatorstwa i galanterji skórzanej. Mówię „takie, jak naprz. warszawskie...", bo ten przykład jest rzeczywiście pierwszorzędny, szczególnie co się tyczy I-szej szkoły miejskiej na ul. Kazimierzowskiej 60, gdyż obok wysokiego poziomu nauk ma ona specjalnie zbudowany gmach wręcz godny zazdrości, w którym warunki higjeniczne nauki są doskonałe. W szkole II miejskiej prócz krawiectwa i bieliźniarstwa jest galanterja damska i fryzjerstwo. Państwowa szkoła nauczycielek rzemiosł na modniarstwo, krawieczyznę i bieliźniarstwo.

Dalej jest godna uwagi „Szkoła zarzadczyń", którą otwiera w Warszawie Stowarzyszenie im. Matki Boskiej Dobrej Rady — to samo, które prowadzi Szkołę Gospodarstwa Domowego w Kuźnicach. Celem tej nowej szkoły jest wyszkolenie zarządczyń pensjonatów, letnisk, hoteli, szpitali i t. p. Program — wzorowany na szkołach szwajcarskich.

Ze wszechmiar zasługuje na polecenie Szkoła Gospodarcza w Chyliczkach pod Warszawą, ucząca gospodarstwa domowego, przetworów, serowarstwa, gospodarstwa podwórzowego, (wzorowe drobiarstwo, chlewnia, obora), i ogrodnictwa (sadownictwo, warzywnictwo, kwiaciarstwo, szklarniarstwo) — wszystko na podstawie handlowej. Do tego rzędu należy wzorowa ferma drobiowa Julin pod Warszawą, gdzie specjalizują się w drobiarstwie absolwentki różnych szkół gospodarczych, idące bądź do pracy „na swojem", bądź jako instruktorki gospodarcze. Do tego też rzędu należy szkoła serowarcza w Szafarni.

Instytut pracy ręcznej, kształcący nauczycieli pracy ręcznej, jednocześnie wychowuje rękodzielników — artystów, którzy odradzają polską sztukę stosowaną, inaczej niepodobna nazwać tych pięknych eksponatów z działu artystycznego stolarstwa i introligatorstwa, które podziwiano na jego wystawie obok prac z metalu i innych. Wspominam o nim zarówno jak o państwowej Szkole zdobnictwa i o żeńskiej Szkole architektury im. Stan. Noakowskiego dlatego, że chociaż w tej chwili kryzys przeszkadza rozmachowi, z jakim niewątpliwie w bardziej sprzyjających warunkach pójdzie praca nad nadaniem naszym siedzibom piętna estetyki o charakterze wybitnie polskim, oryginalnym w stylu, — to jednak ta dziedzina pracy przedstawia duże możliwości. Dowodem powodzenie rzadkich jeszcze u nas pracowni artystycznych sprzętów domowych.

Dowodem żywiołowy wręcz pęd ku racjonalizacji mieszkań i urządzeń gospodarstwa domowego, łączący tę racjonalizację z estetyką.

Nasze miasta to jeden wielki skandal pod względem higjeny i estetyki życia. Nasze mieszkania — to poglądowy pokaz, jak mieszkać nie należy i jak można pracą domową doprowadzać się do rozstroju nerwowego. To wszystko musi być zmienione.

A gdy mowa o higjenie, to trzeba jeszcze wspomnieć Szkoły pielęgniarek-higjenistek, (których mamy 5 w kraju), przed któremi leży wielkie pole pracy. Trzeba wspomnieć państwowe seminarjum ochroniarek, które wychowują i uczą wychowywać dzieci.

Rzecz prosta, wymienione szkoły to tylko przykłady, gdyż w każdej z powyższych dziedzin mamy liczne inne tegoż typu o różnych poziomach. (Tak naprz. seminarjum ochroniarek odpowiada Szkoła wychowawczyń domowych, prowadzona przez Siostry Miłosierdzia na Czerniakowie w Warszawie dla absolwentek szkół powszechnych). Wyszczególniając je, mam na celu jedynie zwrócenie uwagi na te zawody, do których nie garnęły się zbytnio absolwentki szkół średnich, masowo idąc do biur tak, jak nie mające cenzusu wykształcenia masowo szły do fabryk. I jedno i drugie nie jest pożądanym objawem. Dla inicjatywy, przedsiębiorczości i energji młodzieży wiele leży w kraju pola do pracy.

Jest przecież cały ogromny dział służby społecznej (oświata pozaszkolna, organizacje społeczne różnego zakresu), gdzie brak tęgich pracowników wykwalifikowanych. Ale o tem — następnym razem.

Z. Zaleska.

KOBIETA KANADYJSKA I MŁODZIEŻ AMERYKAŃSKA

Gdy przyjeżdża się do jakiegoś obcego kraju, nie jako turysta, ale jako ten co się na dłuższy czas osiedla, ma się oczywiście możność głębszego wniknięcia w życie i obyczaje danego społeczeństwa. — Stanowisko mego męża, jako konsula dawało nam właśnie sposobność do obejrzenia warunków życia w Kanadzie i Stanach Półn. Ameryki w przekroju, nietylko na zewnątrz, powierzchownie.

Zdawaćby się mogło na pozór, i tak się właśnie wszystkim zdaje, że między Kanadą i Stanami — niema różnicy. — Tymczasem różnice są tam takie same, jak dajmy na to, między Polakami a innemi narodami Europy, — tylko, że narody lądu amerykańskiego, dopiero zaczynają kształtować powoli swoje indywidualne oblicza. — Są one zaledwie w zaraniu swej historji i — swego rozwoju narodowego, ale podkreślają zawsze bardzo dobitnie dzielące ich różnice. — Naprz. nazwa „Amerykanin" czy „Amerykanka" stosuje się tylko do obywateli Stanów Zjednoczonych. Nigdy Kanadyjczyk nie powie o sobie „Amerykanin jestem". — Dla nich „Ameryka" — to Stany Zjednoczone, — oni są „Kanadyjczycy".

Pisząc w poprzednim artykule o kobiecie amerykańskiej, nie wspomniałam o kobiecie kanadyjskiej, a należy te dwa typy kobiet rozróżniać tak, jak się rozróżnia Polkę od Rosjanki, Francuzkę od Niemki itd.

Społeczeństwo kanadyjskie jest francusko-angielskie i zachowało jeszcze we wszystkiem cechy charakteryzujące te dwa narody w Europie.

Kanadyjka — Angielka, rasowo zbliżona do Amerykanki, „amerykanizuje" się łatwiej jako pokrewny typ fizyczny i, wskutek protestantyzmu, duchowy, przyjmuje ona łatwiej obyczaje amerykańskie.

Kanadyjka-Francuzka natomiast, stara się utrzymać tradycje i obyczaje dawne, co nie znaczy bynajmniej, aby nie szła z postępem. — „Amerykanizuje" się i ona, jest to nieuniknione i nawet potrzebne, utrzymała jednak to, co jest dziś rozbite w Ameryce i co mocno się chwieje w rodzinie angielskiej w Kanadzie — t. j. dom i rodzinę.

W społeczeństwie kanadyjskiem francuskiem, nieistnieją rozwody, są one niedopuszczalne. Jeżeli gdzieś pożycie jest bardzo złe, bywa dopuszczana separacja, ale w tem, można powiedzieć, szczęśliwem społeczeństwie, prawie niema złych i nieszczęśliwych małżeństw, a zatem i te separacje, są niezmiernie rzadkie. — Kanadyjki-Francuzki mają na ogół dobry i łatwy charakter; są łagodne, miłe, przeważnie ładne, (szczególniej mają bardzo piękne oczy) są gospodarne, praktyczne, pracowite i bardzo miłe w obejściu. — Są też bardzo kochane przez swych mężów i bardzo przez nich psute, jeśli tak można określić dbałość męża o żonę. Kanadyjka zjednoczona w różne kluby polityczne walczy o swe równouprawnienie. Przychodzi jej to równie trudno jak we Francji, tym niemniej, walcząc o to równouprawnienie, nie zaniedbuje bynajmniej swych obowiązków, jako żona, matka i pani domu. — Posyłałabym tam nasze panny na naukę życia, aby zobaczyły jak należy dbać o dom, aby się najbliższym stał miły i piękny i stanowił cichą — najdroższą przystań. Ale posyłałabym i naszych mężczyzn, aby nauczyli się być dobrymi mężami. — Znam wszystkie typy rodzin europejskich krajów i uważam, iż w białej rasie, Kanadyjczycy-Francuzi posiadają to, co się nazywa prawie ideałem domu i rodziny. Jest tam podział słuszny i prawidłowy. Kobieta ma przewagę w domu, mężczyzna w życiu, a żadne tej przewagi we wzajemnym stosunku nie nadużywa, stąd harmonja, zadowolenie, miłość i szczęście, nawet w rodzinach ubogich. Jeżeli są wyjątki, to potwierdzają one tylko regułę.

Młodzież zaczyna się jednak już „amerykanizować", to znaczy, zaczyna unikać towarzystwa rodziców i starszych, żyć swobodnie poza domem i na własną rękę. Rodzina francuska, jeszcze się broni, angielska — skapitulowała już prawie przed — „duchem czasu".

Gdy, urządziwszy dom, weszliśmy w życie tamtejsze, uderzył mnie odrazu brak młodzieży w towarzystwie. Na żadnym obiedzie, na żadnej zabawie, popołudniowej czy wieczornej, nie było młodych panien, ani młodych ludzi. Nie było nawet młodych małżeństw. Wszyscy, których spotykaliśmy, to ludzie starsi „na stanowiskach". — Dzieci ich — były niewidzialne. — Gdy, zaproszeni raz wieczorem na zabawę do pewnego

domu, spotkaliśmy, przyjeżdżając na umówioną godzinę, córkę tych państwa, wychodzącą w towarzystwie młodego człowieka, również gdzieś na zabawę — nie wytrzymałam i zapytałam przy kolacji pana domu przy którym siedziałam: „dlaczego w tutejszem towarzystwie nie spotykamy młodzieży? — Dziś taka ładna zabawa u państwa, a córka pana wyszła z domu. Czemu dzieci wasze nie bawią się razem z wami, czemu ich nawet nie znamy. Przecież młodzież to ozdoba salonu". — Pytanie moje, jakby zażenowało go na razie. Odrzekł mi jednak z zupełną szczerością: „proszę pani, młodzież nasza woli się bawić bez nas, a... i my wolimy się bawić bez nich. — Jesteśmy wzajemnie swobodniejsi". „Czyż obecność młodzieży może krępować zabawę — odparłam, przeciwnie, dodaje jej uroku — a zdaje mi się, że dla młodzieży pod każdym względem lepiej jest, gdy bawi się pod okiem starszych. „Zapewne— odrzekł — ale u nas młodzież wyzwoliła się z pod naszej opieki i woli przebywać wyłącznie w swojem kółku!" Trudno mi było polemizować, nie znałam jeszcze obyczajów tamtejszych dokładnie, a ponieważ dziwiło mnie wiele rzeczy — milczałam i — obserwowałam. — Pisząc o młodzieży amerykańskiej można już dziś podciągnąć pod tę samą kategorję i młodzież kanadyjską, szczególniej angielską. Cechuje ją wielka swoboda obyczajów przedewszystkiem, brak ogłady w naszem tego słowa pojęciu i — nie nazbyt rozwinięta inteligencja. — Z młodym chłopcem z uniwersytetu czy takąż młodą dziewczyną — niema poprostu o czem mówić.

Bardzo biedna jest ta dzisiejsza młodzież amerykańska, tak na pozór szczęśliwa, bo wszystko ma co daje dobrobyt. — Cóż za pustka w tych sercach i mózgach. Jaki niski stopień wykształcenia i zainteresowań. Przy wielkiem tempie, którego celem jest użycie życia, wąskość i ciasnota horyzontów myślowych, dziecinna płytkość ujmowania zagadnień,. Co za różnica pomiędzy naszą młodzieżą, która dopiero zdobyła maturę, a tamtejszymi młodymi ludźmi — po uniwersytecie. — Niemal każdy maturzysta u nas przewyższa inteligencją tamtejszego już „skończonego" chłopca. Dla nich istnieje tylko sport i zabawa, auto, kino, dancing! — O Europie słuchają jak o żelaznym wilku. — Wogóle — mało myślą! Poco? Pieniądze na zabawę są — to grunt. Co będzie gdy ich braknie? — W tej chwili jeszcze nie myślą, bo na ich potrzeby jeszcze rodzice łożą. — Ale i tam kryzys powiększa się. Czem ta młodzież będzie żyć za rok, za dwa, gdy skończy się łatwe życie?

Chłopcy wiedzą tam od wczesnego dzieciństwa, że gdy dojdą do pewnego wieku muszą zarabiać, nie licząc na majątek ojca. Każdy musi sam zdobyć swój majątek, z pomocą stosunków ojca — zapewne, ale syn bogatego ojca — zaczyna nieraz od b. małego stanowiska. — Dorabia się. Panny posagów nie dostają. — W Europie zupełnie mylnie się utarło powiedzenie „Amerykanka z posagiem". — Posagu w tem znaczeniu jak u nas niema w Ameryce zupełnie. — I mężczyźni w Ameryce nie żenią się dla posagu. Tam się kobiety nie sprzedaje — ale raczej ją — kupuje. W Ameryce kobieta pochodząca z bogatej rodziny, może być więcej niż gdziekolwiek pewna, że jeśli się o nią ktoś stara, to nie dla jej pieniędzy. Oczywiście o ile to jest Amerykanin, bo o Europejczykach powiedziećby tego nie można było. — To też na odwrót, bogate Amerykanki „kupują" sobie mężów Europejczyków, którzy je pociągają odmiennością wychowania, inteligencją, wykwintem form zewnętrznych. Mogą sobie — między innymi i na ten „zbytek" pozwolić.

Od Amerykanina wymaga się, by na nią pracował i Amerykanin jest do tego przyzwyczajony.

Co do utytułowanych Europejczyków, to mija już moda wychodzenia zamąż dla tytułu tylko. Coraz tam mniej jest szans dla niebieskich ptaków z Europy, goniących za bogatą żoną. Czasy, nawet w Ameryce coraz cięższe, majątek coraz mniej pewny, a młoda panna chce mieć byt zabezpieczony. Coraz też więcej zaczyna samodzielnie pracować.

Całe społeczeństwo amerykańskie jest właściwie w stanie fermentu. Wskutek idealnych warunków i konjunktur światowych, wytworzyło olbrzymi dobrobyt. Był on — zdawało się ustabilizowany. Teraz zaczyna się chwiać. Ameryka rozwijała się dotąd, raczej dzięki swym siłom fizycznym, materjalnym. Jakie są jej siły moralne i intelektualne, jest to jeszcze wielka niewiadoma. — Objawiają się one tak w narodach jak jednostkach, dopiero wobec trudności życiowych i przeciwieństw losu. — Tego Amerykanie dotąd nie znali. Najbliższa przyszłość wykaże, jak jest uzbrojona moralnie młodzież amerykańska do twardej walki o byt. Ta młodzież obecna przyzwyczajona do łatwego życia, niebardzo rozwinięta duchowo i umysłowo, mająca jednak wielki zasób sił fizycznych, przyzwyczajona do ładu i organizacji społecznej no — i trzeba przyznać patrjotyczna aż do szowinizmu. — Amerykanie od dziecka do starca, od prezydenta do robotnika są tak dumni ze swej Ameryki! Dziś — „coś jest zgniłego w państwie duńskiem" — zaczyna się ten ład psuć! — Na razie są zdezorjentowani! — Co będzie za rok za dwa? Młodzież tę czeka może bardzo twarde jutro. — Jak sobie z tem jutrem poradzi, jakie siły potencjalne są w jej duchowości ukryte, czy są?

Ich patrjotyzm jest też oparty na materjaliźmie. — Tak dobrze było żyć w tej Ameryce, tak właściwie łatwo. Był wyścig pracowitości, zdolności, energji, sprytu i obrotności. Im sprytniejszy, obrotniejszy, silniejszy był ktoś, tym więcej wygrywał na rynku życia. Była możność wyścigu, była możność wygrania — było miejsca dość przytem dla wszystkich, by żyć, żyć dostatnio. — Dziś się to kończy, a może już nieodwołalnie skończyło. Amerykę zaczyna dotykać twarda ręka losu. — Problem „być albo nie być" zawisł nad młodzieżą, niemającą dotąd pojęcia co znaczy wyraz „problem". Młodzież ta, samowolna, niemająca wyższych ideałów duchowych i celów poza własnem użyciem, staje do walki nieuzbrojona moralnie.

Jakie będzie miała oblicze ta Ameryka przez dzisiejszą młodzież tworzona, jaką formę przybierze jej życie społeczne — zobaczymy może już w niedalekiej przyszłości.

Stefanja Olechowska.

WEZWANIE DO KOBIET POLSKICH

Jakże to się dzieje?

Więc w Związkach Zawodowych, więc w Stowarzyszeniach humanitarnych, więc w Zbiorowiskach sportowych są setki i setki kobiet, których działalność otacza się szacunkiem a rezultaty pracy często — podziwem, a w **Sprawie Morza**, w pomocy zbierania niezbędnych funduszów, w gremjalnem zainteresowaniu się najpilniejszą dziś **ochroną Brzegów Bałtyku**, jesteśmy prawie nieobecne.

Nie do wiary!

A jeśli ten fakt się narzuca, to musimy go unicestwić.

Która z nas ma czas i możność płacenia jednego złotego miesięcznie, niech natychmiast melduje się jako członek stały i czynny do **Sekcji Kobiecej przy Lidze Morskiej i Kolonjalnej.** Nowy Świat 35.

Kto czasem nie rozporządza, a nie ma możności nawet tej małej dać pomocy, co łatwo dziś zrozumieć, niech da ile może groszem, resztę gorącem przejęciem się, myślą twórczą i pomocą w pracy.

Miljony nas jest. Musimy się sprządz w łańcuch o mocnych ogniwach. Musimy zrozumieć, że będziemy pomocne i użyteczne i że nie może kobiet polskich braknąć w zbiorowym wysiłku całego kraju dla ochrony brzegów Bałtyku.

Zarząd Sekcji Kobiecej przy Lidze Morskiej i Kolonjalnej wzywa wszystkie kobiety polskie do pracy dla Morza.

Państwo i Rząd robi swoje. My, mrówczą pracą róbmy co sumienie nakazuje, a czemu Bóg nie odmówi swej pomocy;

przewodnicząca Sekcji Kobiecej przy L. M. i K. L. KOTARBIŃSKA.

ZAKŁAD WYCHOWAWCZY SIÓSTR NIEPOKALANEK

(NIŻNIÓW — MAŁOPOLSKA WSCHODNIA, STACJA KOLEJOWA I TELEGRAF W MIEJSCU).

Coraz bardziej odczuwa się konieczność organizowania domów wychowawczych dla dzieci i młodzieży w miejscowościach zdrowotnych, zdala od kurzu i wyziewów miejskich, w pięknem otoczeniu przyrody. Wymaganiom tym odpowiada całkowicie Niżniów, położony w cudownej naddniestrzańskiej okolicy, gdzie z dniem 1-go września Siostry Niepokalanki otwierają internat dla dziewczynek od lat 7 do 10, obejmujący 4 klasową szkołę powszechną czyli I okres nauczania, według nowej ustawy o szkolnictwie. W roku przyszłym otwarty będzie i okres II.

Dziewczynki otrzymają wychowanie najstaranniejsze i najwszechstronniejsze z dostosowaniem do „szkoły pracy" i uwzględnieniem wychowania obywatelskiego.

Kierownictwo położy nacisk na nauczanie dzieci języków: francuskiego i niemieckiego, dlatego wprowadzona będzie w tychże językach konwersacja poza godzinami lekcyj szkolnych.

Klasztor niżniowski, położony w bardzo zdrowej okolicy, otoczony jest dużym ogrodem i zielenią wzgórz, sam stojąc na wzniesieniu.

Zadaniem kierownictwa będzie szczególna piecza o zdrowie dzieci, tak, że przyjmowane będą najdelikatniejsze i najwątlejsze przy zastosowaniu w zakładzie zasad dzisiejszej higjeny, ku czemu pomoże przebywanie większej części dnia na świeżem powietrzu, uprawianie sportów, zajęcia w przydzielonym ogródku i t. d.

Opłata miesięczna wynosi w Zakładzie 120 zł. Rok szkolny liczy się 10 miesięcy. Na książki, zeszyty i inne przybory składa się rocznie 20 zł.

O bliższe szczegóły należy się zgłaszać: Klasztor S. S. Niepokalanek — Niżniów.

Na dalszy ciąg kształcenia się przechodzą uczennice do gimnazjum S.S. Niepokalanek w Jazłowcu (ad Buczacz), oddalonym od Niżniowa o 2 godziny koleją. W tymże Jazłowcu mają Siostry i Seminarjum Gospodarcze z prawami rządowemi, do którego przejść można po ukończeniu 6 klas gimnazjalnych.

H. D' „Abancourt".

HAFTY LUDOWE NA ŚLĄSKU

Dwudziestego czerwca r. 1932 obchodziła cała Polska dziesięciolecie odzyskania Górnego Śląska i powrotu jego do piastowskiej Macierzy. Długą i zaciętą walkę toczył naród polski o tę prastarą dzielnicę, oderwaną przez Niemców jeszcze w XII wieku, a jednak lud polski nie wynarodowił się pod obcym wpływem. Walczył o swe prawa, o mowę ojczystą, o wolność żywego słowa i swej wiary.

Żadne męczeństwo, rugi z ojcowizny, ani katowanie dzieci we Wrześni nie ugięły ludu śląskiego. Trwali i trwają wiernie w swych ojczystych zasadach, prastarych zwyczajach, pieśni ludowej i zdobnictwie, które zbliżone jest w ornamentyce do sztuki ludowej Podhala. Strój kobiecy jest nieco odrębny od odzieży Góralek lub



Haft na tiulu z fartucha kobiecego na Śląsku Cieszyńskiem.
Rys. Marja Stefkowa.

krakowianek. Ślązaczki noszą fałdziste spodnice zwane „rzęsistemi". Spodnice te są wełniane lub jedwabne, czarne lub ciemno-bronzowe, obwiedzione u dołu niebieskim pasem, fartuch zaś biały haftowany lub kolorowy. Haftem ręcznym zdobią czepce, gorsety, zwane żywotkami, i rękawy przy koszulkach zwanych kabotkami.

Mężatki w Cieszyńskiem okrywały dawniej całą suknię szerokim fartuchem z białego tiulu, na którym wyszywały prześliczne wzory o motywach kwiatowych. Bukiet kwiatów i drobnych liści powtarzany był w haftcie wielokrotnie przez całą szerokość fartucha. Obecnie ręczny haft zastąpiono gotową koronką lub wzorzystym materjałem. Warto jednak odszukać stare wzory haftów śląskich i przenieść je w dziedzinę robót ręcznych kobiecych.

Podany w rysunku wzór można bardzo łatwo wykonać na białym batyście lub tiulu. Środek zębatej gwiazdy wypełnia drobna krateczka w rodzaju „toledo" otoczona małemi dzierganemi dziureczkami.

Dwa listki wypełnione w jednej części ściegiem płaskim, w drugiej zaś drobnym paskiem przypominają hafty krakowskie. Jeżeli chcemy wyszyć je na tiulu



Wyszycie na czepcu Ślązaczki.
Odrys. Marja Stefkowa.

musimy podłożyć pod spód biały batyst, starannie przyfastrygować, a po wyszyciu wzoru wyciąć tło ostrożnie, by nie uszkodzić tiulu.

Motyw ten jest bardzo strojny, nadaje się więc doskonale do lekkich, fruwających strojów letnich. Słyszymy niejednokrotnie, że wieśniaczki oddawały swe bogato haftowane chusty, spodnice i fartuchy na bieliznę kościelną, szyły z nich komże, tuwalnie i paramenty, dlatego w ornamentyce haftów kościelnych widzimy nieraz wzory ludowe.

Hafty śląskie mają również często motywy owocowe, naprzykład grona winne wśród liści i gałązek wiją się nad czołem w czepku kobiecym.

Niekiedy motyw koronki składa się z ośmiu serduszek złączonych ażurową krateczką. Motywy te proste, nieskomplikowane mają prawo, by znaleźć się wśród falban i koronek miejskiej strojnisi.

Marja Stefkowa.

HAFTY LUDOWE W PIESKOWEJ SKALE

W pobliżu Ojcowa u stóp wspaniałego zamczyska umieszczonego wśród skał jak orle gniazdo rozłożyła się wieś zwana Pieskową Skałą. Świetność zamku zniknęła od dawna, lecz obecnie założono w ruinach doskonałe letnisko, gdzie liczne rzesze mieszkańców miast znajdują w niem wypoczynek. W tym samym stopniu znikają wśród ludu hafty i wyszycia, które świetnością barw i pięknością wyszycia zdobiły ubiory ludu w Pieskowej Skale.

Jeżeli można było odbudować ruiny zamku dla pożytku ludzkości, można również odtworzyć hafty tamtejsze, by wykonane przez zręczne hafciarki wiejskie mogły zdobić piękne suknie pań, nakrycia stołu, firanki i zasłony do okien.

Historja haftów ludowych w Pieskowej Skale sięga bardzo dawnych czasów i jest analogiczna z haftami krakowskiemi. Podajemy piękny wzór kwiatowy ciągnący się z obu stron wijącej się linji. Wszystkie listki wyszyte są ściegiem płaskim na podwleczeniu, zaś ząbki, gwiazdy i kwiatki otoczone są ściegiem dzierganym. Oryginalne są jednak ażury dużych kwiatów i warto zastanowić się nad ich wykonaniem.

Otóż najpierw podwlekamy kontur w kształcie migdała, następnie przeciągamy promienie przez środek motywu i wiążemy je wokoło pajęczą siatką. Po wy-



Haft biały z Pieskowej Skały.

konaniu tej siatki, obrzucamy obwód migdałka w ten sam sposób, jak haftujemy dziurki w białym hafcie. W gwarze ludowej zasnuwanie siatką otworu w hafcie zowie się „siteczkiem", lub „robótką".

Piękny ten wzór zdobił niegdyś białą batystową chustę na głowę wieśniaczki z Pieskowej Skały.

Wyszyty był cienką, białą, lnianą nicią, dziś jednak możemy użyć do haftu białej bawełny z połyskiem Nr. 35 firmy D. M. C. lub mouliné tej samej firmy. Jeżeli będziemy haftować tą ostatnią, musimy ją dzielić na części, gdyż składa się ona z pięciu cieniutkich nitek, skręconych razem. Podzielimy ją więc na części stosownie do grubości materjału na którym będziemy haftować.

Podany wzór może być wyszywany na batyście, opalu lub jedwabiu, nie nadaje się jednak do samodziału choćby był najcieńszy, gdyż wzór wykonany na grubem płótnie, a w dodatku grubą nicią zatraciłby zupełnie swój subtelny rysunek.

Marja Stefkowa.

ECHA — Z UBIEGŁYCH DNI

Adres do Ignacego Paderewskiego. Czterdzieści stowarzyszeń kobiecych z Narodową Organizacją kobiet i Radą Narodową Polek na czele, wysłało do Ignacego Paderewskiego w dniu jego imienin następującą depeszę:

„W dniu Twego święta zwracają się ku Tobie myśli i serca licznych zastępów Polek, zrzeszonych w niżej podpisanych narodowych organizacjach. Żeś był przez całe swe życie orędownikiem Niepodległości naszej, żeś jeszcze w dobie niewoli dla pokrzepienia serc i ducha wystawił w prastarej stolicy widomy znak naszej ongiś potęgi państwowej i zwycięstwa nad odwiecznym wrogiem, żeś w przełomowej chwili dziejów był żarliwym obrońcą polskiej Sprawy i Ojczyznę naszą godnie reprezentował, żes na drugiej półkuli bronił i bronisz idei Polskiej i jej mocarstwowego stanowiska, żeś dawał i dajesz przykład wielkiej i dyktowanej gorącym patrjotyzmem ofiarności, żeś wreszcie czarem swego Genjuszu do dusz i serc Narodu przemówił, cześć Ci Panie.

Ojczyzna nasza odrodzona, potężna, szczęśliwa niech Ci będzie nagrodą.

Składamy Ci, Panie, Prezydencie, gorące życzenia, wyrazy hołdu i wdzięczności".

Następują podpisy zarządów 14 organizacyj.

Katolickie Stow. Młodzieży rozrastają i mnożą się stale. Obecnie Zjednoczenie Młodzieży Polskiej liczy w całym kraju 223.611 członków.

Wycieczka studentów francuskich przybyła do Warszawy w liczbie 30 osób, należących do „Związku Narodowego studentów francuskich". Na cześć tej młodzieży odbyły się przyjęcie w Ambasadzie francuskiej i w Akademickiem Kole polsko-francuskiem. Studenci zwiedzili: Warszawę, Kraków, Wilno, Poznań, Gdynię i kopalnie Śląska.

Wycieczka z Ameryki liczyła 50 osób. Po zwiedzeniu: Warszawy, Krakowa, Lwowa, Wilna, Poznania, Zakopanego, Katowic, Polacy z Ameryki — jadą do Gdyni, aby na **polskich okrętach** wracać do Ameryki.

Firma „pod Bukietem" w Warszawie, wzięła udział w dziale kulinarnym, na międzynarodowej wystawie handlowo-przemysłowej w Londynie i za: barszcz z nuszkami, bigos, zająca w śmietanie i t. p. Polskie potrawy zdobyły najwyższe odznaczenie: **Wielki złoty medal i Grand Prix.**

Dobra inicjatywa, poparta znajomością danej specjalności, zawsze musi dać pomyślne rezultaty. Firmie winszujemy.

CO ROBIĄ NASZE KOBIETY?

W Krakowie, w ubiegłym miesiącu, odbyły się obrady prezydjum i rady naczelnej Zjednoczenia Katolickich Związków Polek.

Na zjazd przybyły przewodniczące, albo ich zastępczynie oraz delegatki należące do Zjednoczenia związków: krakowskiego, lwowskiego, warszawskiego, poznańskiego, wileńskiego i płockiego, przedstawiające łączną liczbę 25.694 zorganizowanych kobiet. Ponadto w charakterze gości przybyły delegatki tworzących się związków kobiecych w Kielcach, Łodzi i Lublinie.

W obradach prezydjum i rady naczelnej uczestniczył delegat episkopatu do Zjednoczenia, ks. dr. Stanisław Bross, dyrektor Naczelnego Instytutu Akcji Katolickiej. Sekretarzowała p. Sołtanówna, sekretarka generalna Zjednoczenia.

Zjazd rady naczelnej rozpoczął się nabożeństwem, odprawionem przez J. E. Ks. Biskupa Rosponda. Obrady zagaiła przewodnicząca Zjednoczenia p. Zofja Rzepecka z Poznania, odczytując na wstępie pismo J. Em. Ks. Kardynała-Prymasa Hlonda, zawierające błogosławieństwo i życzenia dla zjazdu.

Po programowym referacie przewodniczącej na temat: „Ujednolicenie katolickiego ruchu kobiecego w ramach organizacji Akcji Katolickiej" zebrane delegatki uchwaliły:

1) podkreślać zawsze i wszędzie znaczenie Zjednoczenia Katolickich Związków Kobiet, jako ogólno-polskiej centrali katolickich organizacyj kobiecych i budzić zrozumienie konieczności karnego łączenia się i związków w tem wspólnem, przez episkopat zatwierdzonem ognisku;

2) szukać światła i siły do wytrwania w pracy w coraz doskonalszem pogłębianiu w sobie życia nadprzyrodzonego.

Wśród innych wniosków wyróżnia się swoją aktualnością uchwała zwrócenia się do Najdostojniejszego Episkopatu z prośbą o ostateczne ustalenie ramowych wskazań, jakie mają obowiązywać w przyszłości organizacje Akcji Katolickiej.

Rozwinięcie obrony i opieki nad macierzyństwem przez planową akcję oświatową i społeczną, oraz współpraca ze szkołą przez czynny współudział w kołach i komitetach rodzicielskich — oto uchwały zjazdu liczące się z palącemi zagadnieniami chwili obecnej.

Referat p Zofji Zamoyskiej na temat metod pracy w kołach parafjalnych zapoznał delegowane z pracą Katolickiego Związku Polek archidiecezji warszawskiej.

Do przewodniczącej międzynarodowej Unji katolickich organizacyj kobiecych, p. Steeberghe Engeringh, z okazji dziesięciolecia jej przewodnictwa wysłano list

z życzeniami dalszej owocnej pracy na tak odpowiedzialnem stanowisku.

Zjazd rady naczelnej, nacechowany dążeniem do pogłębienia ideowej łączności katolickich kobiet wszystkich diecezyj Polski, zakończono wysłaniem depeszy do Najdostojniejszego Episkopatu na ręce J. Em. Ks. Kardynała-Prymasa z wyrażeniem hołdu i zapewnieniem wierności w służbie Akcji Katolickiej.

Akcja Katolicka kobieca w archidiecezji warszawskiej. — Od kilku lat rozwijana na terenie archidiecezji warszawskiej Akcja Katolicka wśród kobiet, niedawno uzyskała ostateczną aprobatę J. Em. Ks. Kardynała Kakowskiego, który, zatwierdzając statut, nadał centrali kobiecej Akcji Katolickiej nową nazwę „Katolicki Związek Polek archidiecezji warszawskiej", a stowarzyszeniom parafjalnym kobiet katolickich — nazwę „Katolickie Stowarzyszenie Polek".

Katolicki Związek Polek archidiecezji warszawskiej uzyskał osobowość prawną kościelną.

Ujednostajnienie nazwy w całej Polsce wprowadzi w prace katolickie porządek organizacyjny, a tem samem udzieli im nowej siły w sprawnem budowaniu Akcji Katolickiej w kraju.

Nazwiska dla dzieci nieślubnych i nieznanego pochodzenia. — Z okólnika, wydanego przez min. spraw wewnętrznych, okazuje się, że władze nie stawiają przeszkód zasadniczych w nadawaniu dzieciom nieślubnym nazwisk osób, przyjmujących je na wychowanie, pod warunkiem, że każdorazowo zgłoszone będzie w tym względzie oświadczenie na piśmie.

Nie jest to przeciwne zasadzie ochrony nazwisk, gdyż zawsze akt taki wypływać będzie z nieprzymuszonej woli nadających swe miano. Prawo cywilne dozwala również na nadawanie nazwiska rodowego nietylko z tytułu pokrewieństwa naturalnego, lecz i bez tytułu pokrewieństwa.

Słusznie jednak „Ruch charytatywny", podając tę wiadomość, zaznacza, że „należy w każdym wypadku rozpatrzeć, czy nadanie dziecku nieznanych rodziców nazwiska jego wychowawców, nie przyniosłoby dziecku więcej ujmy, niż korzyści. Każde podanie przeto ma być — stosownie do wskazań okólnika — rozpatrywane według kryterjów interesu samego dziecka.

We Lwowie, wyszedł numer 2-gi „Ruchu Kobiecego", dwutygodnika narodowej młodzieży żeńskiej. Nowe drogi ruchu kobiecego, omawia artykuł wstępny. Artykuł o kobiecie-lekarce, sprostowanie ze zjazdu lwowskiego oddziału polskiego Stow. Kobiet z wyższem wykształceniem, przegląd spraw kobiecych międzynarodowych i kronika bieżąca dopełnia całości starannie i zajmująco redagowanego pisma.

Okólnik w sprawie urzędniczek mężatek. — W nr. 19 „Kobiety Współczesnej" zamieszczono następujący jawny już okólnik ministerjum oświaty.

Warszawa, 22/II. — N. B. P. 3084/32.

„W sprawie danych o urzędniczkach-mężatkach: 1) Czy żyje z mężem we wspólności małżeńskiej? 2) Ile posiada dzieci i w jakim wieku? 3) Stanowisko męża (zatrudnienie), w jakiej instytucji i w jakiej pobiera wysokość uposażenie miesięczne? 4) Czy posiada poza tem majątek, jaki i gdzie.

Na deklaracji mężatka winna stwierdzić własnoręcznym podpisem, że podane w deklaracji dane są zgodne z prawdą. Również proszę o pouczenie odnośne urzędniczki, że zatajenie stanu małżeńskiego, jak również podanie danych niezgodnych z prawdą, pociągnie za sobą ostre konsekwencje służbowe".

Podpisany: Dr. A. Owsionka.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Panience ze dworu — polecamy przeczytać książeczkę p. Józefa Stemlera, doświadczonego kierownika wszelkich spraw z szerzeniem oświaty złączonych p. t. „O prowadzeniu Bibljotek". Znajdzie tam pani wszelkie potrzebne wskazania Szczęść Boże na robotę!

Pani M. Kołodz. Szczuczynie. Bardzo prosimy o opis: „jak Pani spędziła dni wypoczynkowe w lecie". Do wszystkich Czytelniczek zwracamy się z prośbą o napisanie choćby króciutko jak lato ubiegło. W roku zeszłym bardzo miłą rubrykę stworzyły nam listy Szanownych Pań. Oczekujemy.

P. Zosi Lub... w Kielcach. Przeoczyła Pani pewno wiadomość, która musiała być na początku lata. „Związek Kresów Zachodnich", jedna z nadzwyczaj pożytecznie pracujących instytucyj i w tym roku sprowadzał polskie dzieci z Niemiec. W różnych kolonjach, letniskach i dworach naszych, dzieci polskich z Niemiec i ze Śląska po stronie niemieckiej zamieszkałych było 10.000. — Drobiazg ten wyniesie wspomnienia z ziemi ojczystej, nie zapomniane i będzie doskonałą propagandą, wśród tych, którzy, czując się Polakami, muszą znosić nieraz katusze od wrogich nam sąsiadów, a nie mogą sami zamieszkiwać ani odwiedzać Polski.

Troskliwej Matce... radzimy zwrócić się do lekarza. Na odległość i z opisu, w takich razach nic radzić nie można Tylko lekarz może mieć rozstrzygające zdanie.

P. M. W. w Piotrkowie. Doskonale urządzoną, ładnie położoną wśród lasu, blisko stacji kolejki elektrycznej, siedziba — Karolin, jest wybornem miejscem wypoczynkowem, w każdej porze roku gotowem do przyjęcia gości. Ceny tanie. Pomoc lekarska, doskonała kuchnia i troskliwa opieka, dla tych, którzy jej potrzebują cisza, spokój — oto warunki, które niezawodnie dadzą Sz. Pani ukojenie nerwów, czego szczerze życzymy.

P. Wikt. Smol... w Zagajach. Dziś istotnie, bez Radja, trudno się obejść w domu. Ten mały aparacik, powiększony dobrym głośnikiem, to ożywienie długich zimowych wieczorów. Chętnie służyć będziemy pośrednictwem, o którem Pani wspomina, prosząc tylko o dokładny adres.

Panu Mich. Kłob... w Radomiu. Właśnie we wrześniu mamy oglądać wystawę, której celem jest — pokaz tanich domków. Koszt ich ma wynosić od 4.500 do 13.000 zlp. Firmy budujące na każdem terytorjum podejmują się budować „tanie domki" w tej samej cenie. Choćby „ciasny — ale własny domek" to może dużo kłopotu, ale i wiele przyjemności.

P. L. Wich. w Żukowie. Instytut Radowy przyjmuje chorych na stałą kurację. O szczegóły, będzie Pani łaskawa zwrócić się wprost do naczelnego kierownika lecznicy Dr. Łukaszczyka. Warszawa, Wawelska 15. Instytut Radowy im. Marji Skłodowskiej-Curie.

KĄCIK DLA DZIECI

ZNAJDKA.

Straszna była powódź. Najstarsi ludzie takiej nie pamiętali. Od wody deszczowej wezbrały chyże górskie potoki i zasilały swemi wodami wielkie rzeki, które przestały się mieścić w swych brzegach i szeroko rozlały się na łąki, pola urodzajne i osiedla ludzkie. Bronili się ludzie jak mogli, stawiali zapory, ale nieubłagana woda przechodziła z cichym chlupotem przez wały i groble ochronne i sięgała chciwie po wszelki ludzki dobytek. Środkiem rzeki płynął nurt rwący, mętny, spieniony, niosąc na swym grzbiecie drzewa, budynki, zwierzęta, co mógł chwycić po drodze.

Nad rzeką mieszkał stary rybak Maciej z żoną i 8-letnim wnuczkiem Józkiem. Chata stała na wzgórku, tak, że rozszalała woda dostać ich nie mogła, otoczyła tylko wokoło i mokremi jęzorami lizała progi. Pewnego ranka usłyszał Józiek, że coś uderza o próg ich chatki. Dziadziu — zawołał — coś znowu woda przyniosła. Jakiś czarny przedmiot podpływał i odpływał, a po środku bielało coś. Przysłonił Maciej oczy ręką, by lepiej widzieć i nagle jak nie krzyknie: O Jezu! toć to przewrócona łódka a na niej dziecko! Prędzej Józiu! Podaj mi bosak i sam weź drugi. Woda jakoś była spokojniejsza i nie tak chciwa swego łupu, udało się im wyciągnąć łódkę. Wszczepiona kurczowo rączkami w drzewo leżała na niej dziewczynka może 6-letnia, blada i sztywna. Z wysiłkiem odczepił Maciej dziecko i wziąwszy na ręce zaniósł do chaty. Nie żyje biedactwo — mówił. A Józek w bek. Żyje dziadulu, żyje, niech jeno babka się do niej weźmie. Wzięła się Maciejowa do ratowania dziecka. Rozcierała, ogrzewała i wreszcie dziewczynka drgnęła, blada twarzyczka zaróżowiła się lekko i oddech poruszył piersi. Żyła, ale w chorobę popadła długą. Józio godzinami przy niej siedział, muchy oganiał, ziółka pić dawał, aż wreszcie wyzdrowiała. Napróżno pytali się Maciejowie — kto ona. Choroba zatarła wszystko w jej pamięci. Nazwali ją Krystka, bo podczas chorzenia nieraz w nieprzytomności to imię wykrzykiwała. W koszulince jeno była bieluśkiej, gdy ją Maciej wyłowił, tylko na szyjce miała złoty medaliczek z Matką Boską Częstochowską. Najświętsza Panienka ocaliła jej życie — mówiła nieraz Maciejowa.

Minęło 3 lata. Krystka rosła i mężniała, chętna do każdej posługi, wyręczała jak mogła podupadającą na siłach Maciejową, zawsze uśmiechnięta z piosneczką na ustach. Błogosławieństwo Boże weszło w nasz dom z tą dzieweczką — mówili sobie starzy, a Józek to już sam nie wiedział jak dogodzić przybranej siostrzyczce. Pasali razem krówkę i gąski, Józek kręcił fujarki i przedziwne piosenki na nich wygrywał. Dobrze im było razem. Z dziećmi ze wsi nie lubili się bawić, bo wynosiły się nad Józka wnuka ubogiego rybaka a Krystkę znajdką albo cyganeczką nazywały, bo choć biała miała buzię i siwe oczy, ale czarne jej warkocze odbijały od płowych włosów wsiowej dziatwy.

Raz o zachodzie słońca wracały dzieci z lasu do domu z jagodami, gdy nagle usłyszały tentent i zobaczyły lekki powozik, unoszony przez parę rozbieganych koni, na przełaj polami. Rozszalałe konie wpadły w gęstwę jeżyny rosnącej na karczowisku i uplątane stanęły, trzasnęło coś w powozie i przechylił się cały. Koło złamane! — krzyknął Józio i popędzili z Krystką na pomoc. Pokazało się, że to nowi dziedzice z sąsiedniej wioski, którzy objechali obejrzeć swą włość, młode konie przestraszyły się po drodze zająca, co smyrgnął im z pod nóg i poniosły państwo. Dzieci dopomogły państwu wydostać się z powozu, Józek pobiegł na wieś po pomoc, a Krystka poprosiła grzecznie państwa, by poszli spocząć w chacie dziadków. Pan został jeszcze przy koniach, a pani poszła z Krystką do chaty. Maciejowie serdecznie przyjęli gościa. Krystka uwijała się jak mogła, stół nakryła, świeżych poziomek nasypała. Siadajcie pani i pożywajcie — prosiła Maciejowa — czem chata bogata tem rada. Pani usiadła przy stole, ale ciągle wodziła oczami za Krystką. Pociechę macie z wnuczki — powiedziała. Nie mojać to wnuczka, ale za sto rodzonych starczy — odpowiedziała staruszka. A dobre to a serdeczne, błogosławieństwo Boże w domu ta dzieweczka — dodała. I ja miałam córeczkę, w jej wieku byłaby teraz — mówiła pani i opowiadać zaczęła, jak to wyjechali z domu na parę dni, jak ta wielka powódź odcięła ich od domu, a gdy wrócili nie zastali swej Marysieńki. Do dworu, który stał nad rzeką, wdarła się w nocy woda, ludzie tylko widzieli, jak przerażona piastunka z Marysią na ręku biegła przez zalany ogród — i nigdy już potem nie dowiedzieli się, co się z niemi stało. Pochłonęła ją woda, na dnie rzeki szczęście nasze spoczywa — rzekła ze łzami. A Maciejowa na to: Jednym woda zabiera a drugim daje. — I opowiadać jęła jak to Krystkę znaleźli. Nazwaliśmy ją Krystką, bo ciągle to imię wołała w chorobie — zakończyła. Krystka — wykrzyknęła pani — tak się nazywała niańka mojej córeczki, o Boże! Pokażcie ten medalik. Na medaliku z przeciwnej strony wyryte były literki i data. Zdziwiła się Krystka okrutnie, gdy piękna pani padła przed nią na kolana i ściskać ją a całować jęła, mówiąc: Marysia moja, cudem uratowana, Bóg mi cię zwraca, dziecino! W tej chwili wszedł do chaty mąż pani. Co to było łez radości, gdy się to wszystko wyjaśniło. Józek tylko smutnie powiedział: znalazłaś Krystko rodziców, ale my sami tu zostaniemy. Na słowa te odwróciła matka dziewczynki głowę i zawołała: o nie zostaniecie tutaj, zabieram was wszystkich, Jędrek synem nam będzie. A mąż jej podszedł do starych rybaków i wziął ich za ręce — pora wam spocząć po ciężkiej pracy, a cóżby Krystka bez swych dziadziów poczęła — powiedział.

PRZEPIÓRECZKA

„Pójdźcie żąć, pójdźcie żąć” —
— Woła przepióreczka —
Tylko nie uszkodźcie
Mojego gniazdeczka.

H. R. Ch.

BABIE LATO

Babie lato fruwa
Od ziemi do nieba —
Przypomina ludziom,
Że prząść już potrzeba.
Najświętsza Panienka
Zrzuca przędzy motek
Na koszulki białe
Dla biednych sierotek.

H. R. Ch.

DOŻYNKI

Hej! dzisiaj dożynków pora!
Będą tańce do wieczora.
Krzątanina od poranku...
A gospodarz stoi w ganku
I melodji ciągłej słucha
Co wiatr niesie mu do ucha:
„Plon niesiemy plon
W gospodarza dom”.

Ej! już idą... hen... od Krzyża...
Piosnka coraz się przybliża.
Złotowłosa, krasnolica
Wieniec niesie — przodownica,
Wieniec ten dla gospodarza —
I słowa piosnki powtarza:
„Plon niesiemy plon
W dziedzicowy dom”.

Staną rzędem chłopcy, dziewki,
Wnet rozpoczną się przyśpiewki;
Że „to pani, gdyby róża...
Że panienka rośnie duża...
Że pan rządca bardzo srogi,
Że kucharz ma długie nogi...”
Z żartem walczy śmiech
Aż dzwoni od ech.

Prosi gospodyni rada,
By do stołu szła gromada...
Muzykańci wtem zagrają
Aże nogi same drgają.
Przodownica z gospodarzem
Idą w taniec w pierwszej parze...
Z przodownicą pan
Idzie razem w tan.

H. R. Ch.

Wydawcy: **Stow. Mis. Księży Pallotynów.** Redaktor: **Józef Czarnecki**
Redaktorka działu kobiecego: **Lucyna Kotarbińska.**
Wykonano w Drukarni Archidiecezjalnej, Warszawa, Krakowskie Przedmieście 71.

ROZRYWKI UMYSŁOWE.

POD KIEROWNICTWEM WARSZAWSKIEGO KLUBU SZARADZISTÓW.

ZAKOŃCZENIE III KONKURSU KWARTALNEGO.

Warunki podano w styczniowym numerze. Termin nadsyłania rozwiązań *trzytygodniowy* od daty otrzymania numeru.

9. SZARADA.
(2 pkt.)

Kiedyż już nareszcie
minie ten *dwa-czwarty?*
Z kłopotów i biedy
aż nam głowa pęka!...
Stał się tak *raz-trzeci,*
złośliwy, uparty, —
Że wytrzymać *raz* z nim —
to zaiste męka!...
Trzecie już spłynęły
dawno aż do morza,
Ciepło je już bowiem
spędziło z wód rzeki, —
A nam życia jakoś
nie rozjaśnia zorza...
Raz-drugi ten los nasz!...
Czy tak będzie wieki?...

L. Ciesielski czł. Kl. Sz.

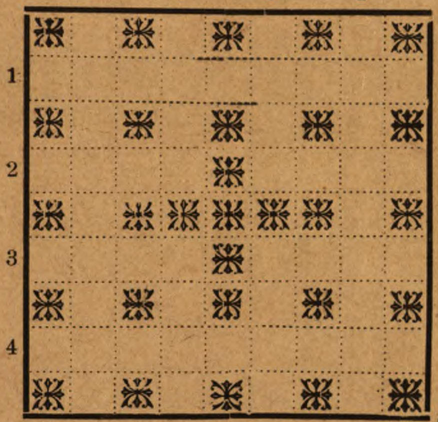
10. BILET WIZYTOWY.
(3 pkt.)

KS. PROT TONTOSZAULOS
O. Pijar.

Litery na wizytówce należy przerzucić tak, aby powstał tytuł danej osoby. Dla ułatwienia dodajemy, że jest to tytuł dostojnika papieskiego i składa się z dwóch wyrazów.

„Jawnakowa".

11. KRZYŻÓWKA.
(4 pkt.)



Wyrazy poziome:
1. Człowiek zwyrodniały.
2. Półszlachetny kamień. — Rodzaj zatoki w ujściu rzeki.
3. Maź (smarowidło). — Apetyt (pragnienie, gust).
4. Członek rodziny (siostra ojca).

Wyrazy poziome:
1. Odmiana gruszki.
2. Część dolara (guldena). — Miasto we Włoszech.
3. Drzewo iglaste. — Wielki obszar nieuprawny, pokryty trawą.
4. Ozdobna podkładka pod lichtarz lub lampę.

E. Wieliczko czł. Kl. Sz.

12. ZAGADKI.
(po 1 pkc. — razem 2)

I. *Pierwsza-druga* w kuchni leży,
naczynie oznacza, —
Drugie-pierwsze, to nas dwoje,
gdy nikt tu nie wkracza.

II. Gdy mnie czytasz tak na *wprost*, —
jestem rzeką, jakich mało;
A na *wspak?* mieszkaniec wód,
jakich w „na wprost" nie bywało.

A. Mieczkowski.

ROZWIĄZANIA ZADAŃ I KONKURSU KWARTALNEGO

umieszczonych w numerach styczniowym, lutowym i marcowym 1932 „Rodz. Polsk.", na które złożyły się następujące zadania (z wyszczególnieniem ilości punktów za rozwiązania:

1. Szar. świąteczna *(L.Ciesielski)* 5
2. Logogryf nowor. *(J. Kowalska)* 3
3. Ciągówka *(K. Denasiewicz)*... 3
4. Rebusiki *(N. K. Kozłowski)* .. 4
5. Logogr. wirowy *(J. Reiss)*.... 4
6. Logogryf *(L. Ciesielski)*...... 5
7. Szaradki *(M. Waksmundska)*.. 4

Ogólna ilość punktów możliwych do zdobycia wynosiła zatem: 28.

1. SZARADA ŚWIĄTECZNA:
Narodziny Syna Bożego.

2. LOGOGRYF NOWOROCZNY:
Witaj Nowy Roku! (Kowal, kwiat, kotew, kwacz, kajak, kanar, kwota, kawon, krypa, kurek, klomb, kukla, kluba).

3. CIĄGÓWKA:
Rozrywki umysłowe. (radjo, obraz zegar, relsy, warty wsp., warunek, koraliki, uskoki wsp., ultimatum, modernistyczny, sympatyczny wsp., sokół, łatwo, ołów, wiercenie).

4. REBUSIKI:
I. *Watykan.* — II. *Seraskier.*
Z podanemi rozwiązaniami II rebusika jak: „Klinkier" lub „W górę serca!" — pogodzić się trudno...



6. LOGOGRYF.
Miłość i zgoda, to życia uroda. (moja, doli wsp., łono, opór, świtu, ćma, ironji, znając, grozy, żniwo wsp., dało, tama wsp.).

7. SZARADKI:
I. *Warszawa.* — II. *Satyra.*

LISTA UCZESTNIKÓW

z podaniem ilości zdobytych punktów: Adamikówna A., Warszawa (17), „Alila" Warszawa (28), Bieńkowski B. Lublin (28), Bilik J. Warszawa (11), Bielenia J. Warszawa (28), Borek K. Wyżło (5), Buczeniewska W. Stajne (7), Ciechanowska K. Lublin (26), Czekalik B. Jaworów (10), Denasiewicz K. Drohobycz (28), Drabętowiczówna S. Poznań (24), Gummerówna W. Leszno (8), Ikaniewicz B. Wołkowysk (21), Jastrzębska Z. Warszawa (26), Jazło K. Dąbrowa (14), Jur. i Hal. Kresy (28), Kabar S. Wilno (8), Klimczak R. Warszawa (28), Klimczakowa Janina Warszawa (28), Kłodziński W. Wola m. (11), Kortylewicz Wiktor Poznań (28), Kotowicz-Eysmont. T. Ołyka, z rysunkami (28), Kowalska J. Warszawa (28), Kozłowska H. Warszawa (28), Kozłowski Cz. Warszawa (28), N. K. Kozłowski Warszawa, z rysunkami (28), Por. Kreyser E. Warszawa (28), Kupny S. Brzeziny (2), Kwaśnicki R. Warszawa (8), Kwiekowa Jadwiga Dorzelin (28), Leśniewska H. Odrowąż (12), Łopatto J. Warszawa (28), Małkisz B. Zawadów (14), „Maryśka z Pohulanki" (28), Mazurowa K. Sosnowiec (21), Mikowska S. Warszawa (19), Millerowa St. Łęczno (28), Miłowski E. Poznań (28), Inż. Modrzejewski J. Lublin (28), Mokrzycka Helena Drohobycz (28).

(C. d. w n-rze następnym.)

SKRZYNKA POCZTOWA.

WP. I. Rutk. Mińsk Maz. Jako stałej uczestniczce naszego działu — z największą chęcią!

WP. A.Mieczk. Wilno. Małe nieporozumienie... Rozwiązania na jednej, — na innych zaś zadania, każde z osobna.

Miłośnikom „Rozrywek umysłowych" polecamy gorąco działy rozrywkowe w pismach warszawskich: „Echa Leśne", „Ra(djo)", „Kino", „Wiarus", „Rara Avis", „Świat", „Kuźnia Młodych", — krakowskiem: „Światowid", — poznańskiem: „Tęcza", „Dziennik Poznański", — lwowskiem: „Słowo Polskie", — lubelskiem: „Głos Lubelski".

M. Sł.

ROZWIĄZANIA RYSUNKOWE P. N. K. KOZŁOWSKIEKO.

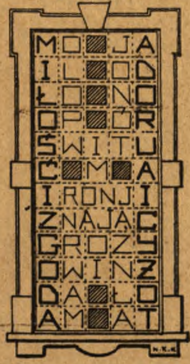
2. Logogryf noworoczny.



1. Szarada świąteczna.



6. LOGOGRYF.



Detefon na wycieczce.

Zbliżają się dni upałów letnich, kiedy chłód lasów i śpiew ptaków mają dla wielu z nas więcej uroku niż najciekawsze audycje radjowe. A jednak, kiedy już odpoczywamy w cieniu wspaniałych jodeł albo dębów, odczuwamy, zwłaszcza, gdy przywykliśmy do radja, że go nam brakuje; ale znów rozpaczą przejmuje nas myśl o ciężarze akumulatora, baterji anodowej, odbiornika, głośnika, o ile mamy odbiornik lampowy, albo jeżeli należymy do detektorowiczów, staje przed nami trudność nieprzezwyciężona: jak założyć antenę w lesie, lub na wycieczce, gdzie przebywać będziemy kilka dni, a może nawet kilka godzin?

Posłuchajmy, czy takie trudne jest zabranie aparatu na wycieczkę. Napierw zajmiemy się detektorowemi odbiornikami, którym się to z wieku i ilości należy. Detektor waży niewiele, razem ze słuchawkami, materjałem antenowym i kryształkiem nie więcej niż 1,5 kg. Jest zatem lekki, to ogromna zaleta dla turysty i harcerza, który wszystko nosi sam, nie wyręczając się nikim, ani też niczem. Aby założyć radjo i posłuchać muzyki, wesołego słuchowiska, czy tej feljetonu, uregulować zegarek podług czasu i dowiedzieć się z dziennika radjowego co słychać nowego, trzeba, aby posiadacz odbiornika detektorowego zatrzymał się na postój, gdzie są dwa drzewa, w ostateczności może być tylko jedno, następnie, aby w pobliżu postoju można było znaleźć dwa kamienie wielkości nieprzekraczającej rozmiarów orzecha włoskiego. Oto wszystko. A z domu trzeba zabrać ze sobą odbiornik detektorowy, 40 mtr. linki antenowej, zakończonej z obu stron izolatorkami jajkowemi po jednym na każdym końcu linki i wreszcie kawałek metalu, z przylutowanym kawałkiem linki, długości około 5 mtr. zakończonym wtyczką na uziemienie: Kawałek metalu powinien mieć kształt taki, by dawał się wbijać w ziemię. Słuchawki uzupełniają ekwipunek radjoamatorski. Przybywszy na upatrzone miejsce postoju przystępujemy do instalacji radja, która trwać powinna dla zręcznego turysty najwyżej 15 minut. Odwijamy najpierw linkę antenową, którą w domu, aby się nie poplątała owinęliśmy na kawałku sztywnej tektury. Do obu izolatorów znajdujących się na końcu linki przywiązujemy kamień uprzednio pracowicie wynaleziony i rzucamy kamieniem wraz z uwiązanym sznurkiem, aby kamień, opisując łuk, przeleciał nad konarem drzewa i spadł albo zawisł z drugiej strony. Teraz pociągamy za kamień, aby lina antenowa, uwiązana na końcu sznurka, podniosła się jaknajwyżej i uwiązujemy linkę dokoła pnia drzewa. To samo robimy z drugim kamieniem, który będzie uwiązany na sznurku z drugiego końca linki. Jeżeli drzewa drugiego niema, drugi koniec linki nieco naciągniemy i załączymy przy pomocy wtyczki do odbiornika. Jeżeli antena będzie zawieszona na dwu drzewach musimy uprzednio zrobić odprowadzenie od jednego z końców linki, albo od środka. Przy zawieszaniu anteny trzeba uważać, aby nie dotykała gałęzi, ani liści drzewa. Teraz przystępujemy do budowy uziemienia. Jeżeli w pobliżu mamy wodę, stawek lub rzekę, czy choćby kałużę, zadanie mamy ułatwione, bo rzucamy poprostu przygotowane uziemienie do wody i włączamy koniec linki do odbiornika. Jeżeli wody w pobliżu niema, wbijamy kawałek metalu w wilgotną ziemię, tworząc uziemienie. Jeżeli zaś ziemia nie jest wilgotna, to ją polewamy wodą z pobliskiej studni. Gdy inne uziemienie jest niemożliwe, rzucamy poprostu na ziemię pod antenę kawałek linki antenowej. Załączenie słuchawek wieńczy pracowite dzieło i daje nam możność posłuchania radja. Jeżeli po ukończeniu pracy nałożymy słuchawki i usłyszymy odczyt o hodowli buraków pastewnych, to nie rozpaczajmy, bo najdalej za 20 minut odczyt, którym się nie interesujemy będzie zakończony i rozpocznie się muzyka. Aby wiedzieć, co usłyszymy, zabierzmy ze sobą program radjowy, unikniemy wtedy słuchania na chybił trafił i nieuniknionego w takim wypadku zdenerwowania. Instalacja, która została tutaj opisana, da dobry odbiór Raszyna do 200 klm., rozgłośni wileńskiej do 50 klm. i Łodzi do 15 klm. Zasięg w tym wypadku zależny jest od terenowych warunków odbioru i wysokości anteny oraz wartości elektrycznej uziemienia, przyjmujemy więc, jako średnią cyfrę połowę zwykłego zasięgu każdej rozgłośni.

Kłopoty XI muzy, (Figle mikrofonu).

Zdawałoby się, że nadanie ze studja radjowego jest rzecza bardzo prostą: jeśli chcemy nadać koncert, sadzamy orkiestrę wokół mikrofonu, rozdajemy nuty i na znak dany przez kapelmistrza audycja się rozpoczyna. Jeszcze prościej — zdawałoby się, — nadaje się odczyt, czy feljeton: prelegent siada przy stoliku, na którym stoi mikrofon, rozkłada rękopis i czyta napisane uprzednio przemówienie.

Niestety, sprawy te nie są tak proste i łatwe, jakby się na pierwszy rzut oka zdawało...

Instrumenty muzyczne mają swe szczególne cechy akustyczne, polegające bądź na wydawaniu tonów bardzo wysokich, jak np. Skrzypce, flet, albo też są hałaśliwe, jak np. trąbka, puzon, bęben i t. p. Rozstawienie tych instrumentów przed mikrofonem nie może być przypadkowe, odległość każdego instrumentu od czułej membrany mikrofonu musi być wypróbowana za każdym razem, w przeciwnym bowiem razie w utworze muzycznym, w którym pewne instrumenty miałyby za zadanie dyskretne podmalowanie tła utworu — dzięki zbyt małej odległości od mikrofonu wypadałyby silniej i głośniej niż instrumenty prowadzące właściwy wątek melodji. Rezultat tego przypadku byłby tak przykry, że nawet mało muzykalni słuchacze, nie mówiąc już o znawcach muzyki, z odrazą przerwaliby słuchanie audycji.

O ile instrument muzyczny prawie zawsze wydaje tony o pewnem nasileniu i barwie, rzadko odbiegając od swego charakterystycznego dźwięku, o tyle głos ludzki — najbardziej indywidualna cecha człowieka — zawiera nieskończoną gamę odcieni, nasilenia dźwięku, sposobów wymawiania zgłosek, sylab i słów. Jeszcze większą rozmaitość przedstawia głos śpiewaka, lub śpiewaczki, tu bowiem do wszystkich właściwości indywidualnych głosu należy dodać jeszcze odrębny dla każdego śpiewaka sposób ujęcia każdej pieśni, każdego tonu, przejścia i frazy muzycznej.

Audycja radjowa, w której oprócz wykonawcy i słuchacza biorą udział znajdujące się pomiędzy nimi mikrofon, wzmacniacze, stacja nadawcza, przestrzeń atmosfery, odbiornik i wreszcie słuchawki, lub głośnik, jest jedynym w akustyce wypadkiem niezmiernej bezpośredniości kontaktu między wykonawcą a słuchaczem, mimo tak wielkiej ilości martwych przyrządów technicznych, które ów kontakt umożliwiają. Nie mówiąc już o olbrzymiej liczbie punktów w tej skomplikowanej aparaturze, narażonych na niespodziewane uszkodzenie, trzeba naprawdę doskonałych urządzeń, aby koncert lub przemówienie dobiegło uszu słuchacza w stanie takim samym, w jakim opuściło salę nadawczą.

Mikrofon rządzi się swemi własnemi prawami, innemi niż ucho ludzkie. Jest to przyrząd, z matematyczną dokładnością przetwarzający na drgania prądu elektrycznego wszelkie drgania powietrza, wytworzone przez dźwięk. Ucho ludzkie natomiast na każdy dźwięk reaguje w sposób bardzo osobisty, wybierając sobie ze wszystkich dźwięków uderzających o bębenki uszne te dźwięki, które pragnie, albo tylko lubi słuchać; na pewne dźwięki nerwy ucha reagują stępieniem, dzięki czemu np. wystrzał armatni słyszymy przeciętnie 20 razy słabiej, niż brzmi on w rzeczywistości, na inne znów dźwięki nerwy szczególnie się zaostrzają, dzięki czemu dźwięki ciche, lub dalekie słyszymy stosunkowo lepiej. Dlatego też pomiędzy wzmacniacze, potęgujące natężenie prądu idącego z mikrofonu na stację nadawczą, włączony jest potencjometr, stale obsługiwany przez wytrawnego technika, przystosowującego jakby audycję do ucha ludzkiego, które bez tej regulacji odniosłoby wrażenie, że pewne dźwięki brzmią zbyt silnie w słuchawkach lub głośniku, inne natomiast zanikają zupełnie.

Za kulisami radja znana jest epidemja, na którą cierpi większość prelegentów i artystów, produkujących się przed mikrofonem. Epidemja ta nazwana została dosadnie „włażeniem w mikrofon" i polega na tem, że prelegent uniesiony temperamentem zbliża się zbytnio do mikrofonu, sądząc, że im bliżej tego czarodziejskiego przyrządu znajdzie się jego krtań, tem lepiej i... tem dalej będzie słyszany. Wynikiem takiej epidemji jest „przekrzyczenie", t. j. przekroczenie przez siłę drgania prądu maksymalnej zdolności mikrofonu, skutkiem czego mikrofon daje stale tylko prąd najsilniejszy, nie odtwarzając już zupełnie odcieni, przejść i tonów, przyczem audycja jest szkaradnie zniekształcona i czyni wrażenie, jakby artysta mówił lub śpiewał, zawiązawszy sobie usta grubą chustką. Wobec śpiewaków o bardzo silnych głosach radjo musi się uciekać do niewinnej mistyfikacji, aby uratować dla słuchacza dobrą audycję: przed śpiewakiem ustawia się mikrofon... z niczem niepołączony... natomiast drugi mikrofon, oddalony i starannie ukryty, odtwarza jego głos bez zniekształceń.

Wacław Frenkiel.